

LEM

Wielkość  
urojona

Stanisław Lem

Wielkość urojona

© Copyright by Barbara i Tomasz Lem, 2012

projekt okładki: Anna Maria Suchodolska

© Copyright for this edition: Pro Auctore Wojciech Zemek

[www.cyfrant.pl](http://www.cyfrant.pl)

ISBN 978-83-63471-17-0

Kraków

2012

Wszelkie prawa zastrzeżone

Stanisław Lem

# WIELKOŚĆ UROJONA

# Spis treści

[Wielkość urojona](#)

[Cezary Strzybisz, „Nekrobie” \(139 reprodukcji\).](#)

[Reginald Gulliver, Eruntyka](#)

[Historia literatury bitycznej](#)

[Ekstelopedia Vestranda w 44 magnetomach](#)

[Vestranda Ekstelopedia Arkusz próbny](#)

# WIELKOŚĆ UROJONA

# WSTĘP

Sztuka pisanie wstępów od dawna domaga się indygenatu. Od dawna też oblegała mnie potrzeba zadośćuczynienia temu piśmiennictwu pod zaborem, które milczy o **sobie** od czterdziestu wieków – w niewoli dzieł, do jakich je przykuto. Kiedyż, jeśli nie w epoce ekumenizacji, to jest wszechracji, należy wreszcie obdarzyć niepodległością ten gatunek szlachetny kietznany w powiciu? Liczyłem wszakże na to, że ktoś inny wypełni tę powinność, nie tylko estetycznie zgodną z rozwojowym kierunkiem sztuki, ale moralnie wprost naglącą. Niestety, przeliczyłem się. Próżno patrzę i czekam: nikt jakoś nie wyprowadza Wstępopisarstwa z domu niewoli, z kieratu pańszczyźnianych służb. A więc nie ma rady: muszę sam, jakkolwiek z poczucia obowiązku raczej niż z odruchu serca, pospieszyć z pomocą Introdukcyjście – zostać jej wyzwolicielem i akuszerem.

Ma ta ciężko doświadczona dziedzinie swoje państwo dolne, Wstępów najemnych, pociągowych, zaciężnych i zgrzebnych, albowiem niewola deprawuje. Zna też zadufanie i narymność, gest zdawkowy i zadęcie jerychońskie. Oprócz szeregowych wstępów istnieją też szarże – jako Przedmowy i Wprowadzenia, a i zwykłe Wstępy nie są sobie równe, bo czymś innym jest wstęp do książki własnej, innym zaś do cudzej. Także poprzedzić nim pierwsze wydanie to coś innego, aniżeli wkładać trud w pomnażanie wstępów do wydań licznych a kolejnych. Moc zbioru wstępów, nawet nijakich, którą obrośło dzieło namolnie wciąż wydawane obraca papier w opokę porażającą knowania Zoilów – któż bowiem

ośmieli się zaatakować książkę z takim przedpiersiem pancernym, spoza którego już nie tyle treść jej widać, ile takowej szacowność nietykalną!

Wstęp bywa zapowiedzią powściągliwą z dostojeństwa lub dumy, obligiem sygnowanym przez autora, to znów – wymuszoną przez konwenans, pobieżną, choć i przyjazną – manifestacją symulowanego w gruncie rzeczy zaangażowania się jakiegoś autorytetu w książkę: więc jest listem żelaznym, glejtem, przepustką do wielkiego świata, wiatykiem z możliwych ust – chwytem daremnym, który ciągnie w górę to, co i tak utonie. Niewypłacalne są te weksle – i tylko rzadko który sypnie złotem, a jeszcze procentami obrodzi. Lecz wszystko to pominę. Nie zamierzam wdawać się w taksonomię Introdukcjonistyki ani nawet w elementarną klasyfikację tego postponowanego dotąd, na kantarach trzymanego rodzaju. Cuganty czy chabety – jednako w nim zaprzęgiem chodzą. Niechże się Linneusze zajmą tą pociągową stroną rzeczy. Nie takim wstępem poprzedzam moją małą antologię Wstępów Wyzwolonych.

Wypada tu zstąpić do głębi. Czym może być wstęp? Zapewne reklamiarstwem łąącym w żywe oczy, ale również wołaniem na puszczy Jana Chrzciciela czy Rogera Bacona. Refleksja wskazuje nam więc, że oprócz Wstępów do Dzieł istnieją Dzieła-Wstępy, albowiem tak Święte Księgi wiar wszelkich, jak tezy i futuromachie uczonych są Przedmowami – do Tego i Tamtego świata. Namysł zdradza więc, że Państwo Wstępów jest nieporównanie rozleglejsze od Państwa Literatury, co ona bowiem ziścić usiłuje, to Wstępy tylko zapowiadają – z oddali.

Odpowiedź na już nabrzmiewające pytanie – po kiego licha trzeba się wdawać w walkę o wyzwolenie wstępów i proponować je jako suwerenny gatunek pisarski, prześwituje z dopiero co

powiedzianego. Można jej udzielić albo jak z bicia strzelił, albo przywołując na pomoc wyższą hermeneutykę. Najpierw da się ten projekt uzasadnić bezpatetycznie – z liczydłem w ręku. Czy nie zagraża nam potop informacyjny? I czy nie w tym jego potworność, że on piękno pięknem miażdży, a prawdą prawdę unicestwia? A to, ponieważ głos miliona Szekspirów jest taką samą wrzawą i wściekłym hałasem, jak głos stada bawołów na stepie lub bałwanów na morzu. Tak miliardowe sensy, zderzając się, nie honor przynoszą myśli, lecz zgubę. Czy w obliczu takiej fatalności nie jest już tylko Milczenie zbawienną Arką Przymierza Twórcy z Czytelnikiem, skoro pierwszy zdobywa zasługę, powstrzymując się od snucia treści jakichkolwiek, a drugi – przyklaskując tak okazanej rezygnacji? Zapewne... i można by powstrzymać się od pisania nawet samych wstępów, lecz wówczas akt objawionej powściągliwości nie będzie dostrzeżony, tedy i ofiara nieprzyjęta. Toteż są moje Wstępy zapowiedziami takich grzechów, od których się powstrzymam. To – na planie kalkulacji zimnej i czysto zewnętrznej. Lecz rachuba nie wyjawia jeszcze, co Sztuka zyska na ogłoszonych wyzwolinach. Wiemy już, że i niebieskiej manny nadmiar działa kamienująco. Jak się od niego ratować? Jak ocalić ducha od samozagwożdżenia? I czy doprawdy właśnie tutaj ocalenie, właśnie przez Wstępy dobra droga prowadzi?

Przywołany doktor świetlisty, z hreczkosieja hermeneutyk, Witold Gombrowicz, tak by rzecz wyłożył. Nie o to idzie, czy komukolwiek, a choćby i mnie, pomysł uwolnienia Wstępów od Treści, jakie mają zapowiadać, podobał się – albo i nie podobał. Podlegamy bowiem bezapelacyjnie prawom Ewolucji Formy. Sztuka nie może stać na jednym miejscu ani powtarzać się w kółko: właśnie przez to nie może się tylko podobać. Jeśli zniosłeś jajo, musisz je wysiedzieć; jeśli wylął ci się z niego ssak miast gada,



trzeba mu dać coś do possania; jeżeli więc kolejny krok doprowadza nas do tego, co budzi powszechną niechęć, a nawet stan przywomitalny, nie ma rady: dopracowaliśmy się już Tego Właśnie, już tak daleko dopchaliśmy i dociągnęli samych siebie, więc z wyższego niż przyjemność nakazu przyjdzie nam obracać w oku, w uchu, w umyśle – Nowe, kategoriycznie zaaplikowane, bo zostało odkryte na drodze hen wzwyż – tam, gdzie nikt wprawdzie nie bywał i bywać nie chce, skoro nie wiadomo, czy da się Tam choć przez chwilę wytrzymać – lecz, zaiste, dla Rozwoju Kultury nie ma to najmniejszego znaczenia! Lemat ten, z dezynwolturą właściwą nonszalanckiej genialności, każe nam jedną – starą – spontaniczną, więc nieuświadomioną niewolę na nową zamienić; nie rozcina pęt, lecz tylko lonżę nam wydłuża; jakoż gna nas w Niewiadome, zwąc wolnością – zrozumianą konieczność.

Lecz ja, wyznaję uczciwie, innego łąknę uzasadnienia dla herezji i buntu. Powiadam tedy: jest poniekąd prawdą to, co się rzekło po pierwsze i po wtóre, lecz nie całą prawdą – i nie całkiem podobną do musu, albowiem, po trzecie, możemy zastosować do kreacji algebrę, u Wszechmocnego podpatrzoną.

Proszę zwrócić uwagę na to, jak przegadana jest Biblia, jaki rozlewny Pentateuch w opisach **rezultatu** Genesis – i jak lakoniczny w pokazywaniu jej receptury! Był bezczas i chaos, aż nagle – ni z tego, ni z owego – powiedział Pan: „Niech się stanie światło”, po czym stało się i już, a między jednym a drugim nic – ani szparki nie było, ani sposobu? Nie wierzę! Między Chaosem a Stworzeniem była czysta intencja, światłem jeszcze nieporażona, w Kosmos niezaangażowana do końca, nieubrukana – rajską nawet ziemią.

Było bowiem wtedy i tam powstanie szans, lecz nie spełnienie; był zamiar, przez to boski i dlatego wszechmocny, że się jeszcze w działanie obracać nie zaczął. Było zwiastowanie – przed poczęciem...

Jak nie skorzystać z tej nauki? Nie o plagiat idzie, lecz o metodę. Skąd to wszystko poszło? Z początku, oczywiście. A co było na początku? Wstęp, jak już wiemy. Wstęp, ale nie samoswój, nie sobiepański, lecz Wstęp do Czegoś. Przecistawmy się wyuzdanemu ziszczaniu, jakim była Genesis – zastosujmy do jej pierwszego lematu algebrę powściągliwszej kreacji!

Podzielimy mianowicie całość przez „Coś”. „Coś” zniknie wówczas i pozostaniemy – jako z rozwiązaniem – ze Wstępem oczyszczonym od złych skutków – bo od wszystkich grózb Wcielenia – albowiem czysto intencjonalnym i w tym stanie bezgrzesznym. Nie jest to świat – lecz punkt tylko bezwymiarowy – ale właśnie dlatego w bezkresie. O tym, jak sprowadzić do niego literaturę, powiemy za chwilę. Pierwej przypatrzmy się jej sąsiedztwu, boż nie jest ona przecież samotnikiem anachoretą.

Wszystkie sztuki usiłują dziś wykonać manewr zbawienia, ponieważ wszechrozprężanie się twórczości stało się jej zmorą, gonitwą, ucieczką – jak Uniwersum, eksploduje Sztuka w pustkę – nie znajdując oporu, więc oparcia. Skoro wszystko już można, to i nic niewarte – i pęd obraca się w cofaninę, ponieważ wracać chcą Sztuki do źródła, a nie umieją.

Malarstwo, w palącym pożądaniu **granic**, wlaźło w malarzy: w ich skórę – i oto artysta wystawia już samego siebie, bez obrazów, więc jest obrazoburcą wychłostanym pędzlami czy utarzanym w oleju i w temperze albo całkiem goły na wernisażu – bez barwnej przyprawy. Niestety, ten nieszczęśnik nie może dotrzeć do autentycznej nagości: to nie Adam, to tylko jakiś pan do rosołu rozebrany.

A rzeźbiarz podtykający nam swe nieokrzesane kamienie czy uwnioślający ekspozycją byle śmieci usiłuje wleźć na powrót w paleolit – w pracłowieka – bo nim, czyli Autentykiem, chce zostać!

Lecz gdzie mu do jaskiniowca! Nie tędy droga w surowe mięso barbarzyńskiej ekspresji! *Naturalia non sunt turpia* – ale to nie znaczy, że byle prostacze zdziczenie jest powrotem do Natury!

A co, proszę? Wyjaśnimy rzecz na przykładzie muzyki. Największa i najbliższa szansa przed nią bowiem stoi właśnie otworem.

Źle czynią kompozytorzy, łamiąc kontrapunktowi gnaty i puszczając komputerami Bachów na rozkurz – także deptanie, elektronami, ogonów wzmocnionego stukrotnie kota nic, oprócz stada sztucznych wyjców, nie urodzi. Fałszywy kurs i ton! Nie nadszedł jeszcze świadomy celu zbawiciel – nowator!

Czekam go niecierpliwie – oczekuję jego utworu muzyki **konkretnej w odkłamywaniu**, powracającej na Przyrody łono, utworu, który będzie utrwaleniem owych popisów chóralnych, choć prywatnych ściśle, jakim się każda publiczność oddaje w koncertowej sali – tylko zewnętrżnością skupienia kulturalna, tylko oswojoną peryferią organizmów kontemplująca orkiestrę w potach.

Sądzę, że ta stumikrofonowo podsłuchana symfonia będzie miała ciemną, monotonną instrumentację, flakom właściwą, bo jej brzmieniowe tło utworzą wzmocnione Basy Jejunalne, czyli Borborygmy osób zapamiętałych w nieuchronnym brzuchoburstwie – w kruczeniach osadzonym, gulgotliwie dokładnym i pełnym zdesperowanej ekspresji trawiennej – albowiem autentyczny, skoro organiczny, a nie organowy, jest ten głos trzewi – głos życia! Ufam też, że lejtmotyw rozwinie się w takt siedzeniowej perkusji, wyakcentowanej poskrzypywaniem krzesel, z silnymi, spazmowymi wejściami smarknięć i z akordami świetnie koloraturowego kaszlu. Zagrają bronchity... i przeczuwam tu właśnie niejedno solo wykonane z mæstrią astmatycznej sędziwości, istne *Memento mori vivace ma non troppo*, popis agonalnego *piccolo*, bo autentyczny

trup zakłapie na trzy czwarte do taktu sztucznymi szczękami, bo uczciwy grób zaświszcze w rozróżonej tchawicy – otóż, taka Prawda Przewodu Symfonicznego, Tak Życiowa, jest nie do podrobienia!

Cała somatyczna inicjatywa ciał, dotychczas najfałszywiej w świecie zagłuszana muzyką sztuczną, wbrew ich brzmieniom tragicznie, bo nieodwołalnie własnym, domaga się triumfalnej rewindykacji – jako Powrotu do Natury. Nie mogę się mylić – wiem, że prawykonanie Symfonii Wisceralnej będzie przełomem, albowiem tak i tylko tak tradycyjnie bierna, stłumiona do szmeru miętówek rozwijanych publiczność przejmie – nareszcie! – inicjatywę i w roli autoorkiestry wykona **powrót do siebie** – zapamiętała we wszechodklamaniu, tym hasło naszego wieku.

Twórca-kompozytor znów stanie się jeno kapłanem-pośrednikiem pomiędzy struchlałą rzeszą i Mojrą – albowiem los flaków naszych jest naszym Przeznaczeniem...

Tak to dystygnowana zbiorowość znawców-słuchaczy bez postronnych brzdąkań dozna autosymfonii, ponieważ w tym prawykonaniu już tylko **samą sobą** będzie się delectowała – i trwożyła...

A co z literaturą? Domyślcie się już chyba: ja chcę wam ducha waszego oddać – w całym jego obszarze – tak jak muzyka wisceralna oddaje publiczności jej własne ciało – czyli w samym środku Cywilizacji do Natury zstępuje.

Dlatego właśnie Wstępopisarstwo nie może już trwać dłużej pod klątwą niewoli – wyłączone z prac wyzwolicielskich. Nie tylko beletrystów i ich czytelników podżegam więc do powstania. A mam na myśli bunt, nie skołowanie powszechne – nie podbechtywanie widzów teatralnych, żeby włązili na scenę lub żeby scena na nich włąziła, przez co, tracąc dawną pozycję wyższości miłej, zostają ze zlikwidowanego azylu widowni wtrąceni w kocioł świętego Wita.

Nie drgawka, nie zbakierowana mimikra jogi, lecz Myśl jedna może nam wolność przywrócić. Tak więc, odmawiając mi prawa walki wyzwolenczej w imieniu i dla dobra Wstępów, skazałbyś się, szanowny Czytelniku, na wsteczniectwo, na staroświecczyzną zakamieniałą, i choćbyś nie wiedzieć jaką brodę sobie zapuścił – nie wejdziesz do nowoczesności.

Ty natomiast, Czytelniku, biegły w antycypowaniu Nowego, ty, Postępowcze z błyskawicznym refleksem, wibrujący swobodnie w Modospadach naszej ery, ty, który wiesz, że skorośmy zaleźli wyżej niż nasz prakuzyn małpi (na Księżyc przecież), musimy leżeć dalej – ty pojmiesz mnie i połączysz się ze mną w poczuciu spełnianego obowiązku.

Ja ciebie oszukam, a ty mi za to właśnie wdzięczność okażesz; ja złożę ci zaprzysiężoną obietnicę, ani myśląc jej dotrzymać, a ty właśnie tym będziesz zaspokojony czy przynajmniej udasz z mæstrią godną sprawy, że tak jest; tępalom zaś, co by nas pospołu wykląć chcieli, powiesz, że odpadli duchem od epoki i stoczyli się na wysypiska staroci, przez pośpieszną Rzeczywistość wyplutej.

Powiesz im, że nie ma rady – wekslem bez pokrycia (transcendentalnego), zastawem (sfałszowanym), zapowiedzią (niewykonalną) – najwyższą formą alteracji została dziś sztuka.

A więc tę właśnie jej pustkę i tę niewykonalność trzeba wziąć za dewizę i opokę; i dlatego właśnie ja, piszący Wstęp do Małej Antologii Wstępów, jestem w dobrym prawie, albowiem proponuję wprowadzenia wprowadzające donikąd, wstępy nigdzie niewstępujące, oraz przedmowy, po których żadne mowy się nie rozlegną.

Lecz każdym z tych posunięć pierwszych otworzę ci pustkę innego rodzaju i koloru znaczeniowego, mieniącą się właściwym prążkiem widma Heideggerów. Będę z entuzjazmem, z nadzieją i z

wielkim hałasem otwierał drzwi ołtarzy i tryptyków, zapowiadał ikonostasy i carskie wrota, będę klękał na stopniach obrywających się u progu podprzestworza, nie to, że opustoszałego, lecz takiego, w którym nigdy nic nie było – i nie będzie. Ach, zabawa ta, najpoważniejsza z możliwych, wprost tragiczna, jest parabolą naszego losu, ponieważ nie ma drugiego wynalazku tak ludzkiego ani takiej własności i ostoji człowieczeństwa jak pełnibrzmiały, wyługowany z obligów, wchłaniający na amen jestestwa nasze – Wstęp do Nicości.

Cały świat kamienny i zielony, wystygły i huczący, zaogniony w chmurach i w gwiazdach zakopany dzielimy ze zwierzętami i roślinami – Nicość atoli naszą domeną jest i specjalnością. Odkrywcą nicości jest człowiek. Ale ona to trudna, to taka niebywała, bo niebyła rzecz, której ani spróbować nie można bez starannej zaprawy, duchowych ćwiczeń, bez długotrwałej nauki i treningu; nieprzygotowanych poraża w słup – toteż do komunikowania się z nicością precyzyjnie nastrojoną, bogato zorkiestrowaną trzeba się sumiennie szykować – czyniąc każdy krok w jej kierunku możliwie ciężkim, wyrazistym i materialnym.

A więc ja ci tu będę pokazywał Wstępy, jak się pokazuje wspaniale rzeźbione odrzwia, złotem kute, zwieńczone gryfami i grafami w nadprożach majestatycznych, będę przysięgał na tę ich litą, dźwięcznie masywną, ku nam zwróconą stronę, po to, aby rozwierając je skupionym szarpnięciem ramion mego ducha, wtrącić w nic czytającego – a tym samym wytrącić go ze wszystkich naraz bytów i światów.

Cudowną swobodę zapewniam i gwarantuję, dając słowo, że Tam nie będzie Nic.

Co zyskam? Stan najbogatszy: ten – sprzed Stworzenia.

Co zyskasz? Wolność najwyższą – bo żadnym słowem nie zakłócę twego słuchu w czystym wzlocie. Ja ci go tylko wezmę, jak miłośnik bierze gołębia, i cisnę nim, jak kamieniem Dawidowym, jak kamieniem obrazy, aby poleciał w ten bezkres – na wieczne używanie.

Cezary Strzybisz

# NEKROBIE

139 reprodukcji

Wstęp

Stanisław Estel

Wydawnictwo Zodiak



# WSTĘP

Niewiele lat temu chwycili się plastycy śmierci jak zbawienia. Zaopatrzeni w atlasy anatomiczne i histologiczne poczęli flaki wypuszczać aktom, gmerać się w bebechach, wywalając na płótna zmaltretowaną brzydotę naszych wstydliwych paprochów, tak słusznie zasłoniętych na co dzień skórą. Lecz cóż, koncerty, które gnicie we wszystkich kolorach tęczy zaczęło dawać po salach wystawowych, nie stały się rewelacją. Byłoby to rozwiązanie, gdyby ktoś z widzów poczuł się dotknięty, byłoby koszmarnie, gdyby zadrżał – lecz cóż? Nawet ciotek to nie wzburzyło. Midas obracał w złoto wszystko, czego się tknął, a plastyka dzisiejsza, pod klątwą przeciwnego znaku, samym dotknięciem pędzla likwiduje powagę każdej rzeczy. Jak tonący sięga po wszystko – i z chwyconym idzie na dno – przy zblazowanym spokoju widzów.

Wszystko? Więc i śmierć? Czemu nie zaszokował nas jej antymajestat, czy te krwawo zaszlamowane karty z powiększonych plansz medycyny sądowej nie powinny były nas choć zastanowić – swoim horrorem?

Były jednak bezradne... bo nadto wysilone! Zamysł już był dziecinny – przestraszenia dorosłych... dlatego to nie chciało być na serio! Więc zamiast *memento mori* otrzymaliśmy starannie rozmierzwione trupy – rozkopana zbyt namolnie tajemnica grobów objawiła się śliską kloaką. Nie przemówiła ta śmierć – ponieważ zanadto ostentacyjna! Biedni plastycy, którym mało już natury, więc zabrali się do eskalacji grand guignolu, sami wystrychnęli siebie na dudków.

Lecz – po kompromitacji podobnej, po tej klapie śmierci – co właściwie takiego zrobił Strzybisz, że udało mu się ją zrehabilitować? Czym są właściwie jego „Nekrobie”? Nie są malarstwem przecież – Strzybisz nie maluje i podobno w życiu nie miał pędzla w palcach. Nie jest to grafika, bo on nie rysuje, nie ryje też w żadnej substancji, nie rzeźbi – ot, fotograf. Co prawda szczególnie – skoro zamiast światła używa promieni Roentgena.

Ten anatom swoim okiem przedłużonym ryjami aparatów rentgenowskich przechodzi na wylot przez ciała. Lecz czarno-białe błony znane z lekarskich gabinetów na pewno pozostawiłyby nas obojętnymi. Dlatego ożywił swe akty. Dlatego jego szkielety stąpają takim prężnym, zdecydowanym krokiem w śmiertelnych koszulach raglanów, z widmami teczek. Dość złośliwe i dziwaczne, przyznajmy, nie więcej, ale on tymi migawkowymi zdjęciami tylko przymierzał się, próbował jeszcze – nie wiedział. Powstał hałas dopiero, kiedy poważzył się na straszną rzecz (choć już nie miało być strasznych rzeczy): on nam prześwietlił na wylot – i taki pokazał seks.

Ten zbiór prac Strzybisza otwierają jego „Pornogramy” – zaiste komiczne, lecz dosyć to okrutny komizm. Właśnie najbardziej natrętny, rozpasany, rozzuchwalony seks – grupowy – wziął Strzybisz pod ołowiane blendy swoich obiektywów. Pisano, że chciał wyszydzić pornomanię, że dał jej dokładną (bo do nagiej kości doprowadzoną) lekcję i że mu się to udało, ponieważ te kości, wczepione w siebie, poukładane w geometryczne zagadki, z niewinnego pogmatwania przeskakują w oku widza nagle – i niesamowicie – w nowożytny Totentanz, w tarło podskakujących szkieletów. Pisano, że zamierzył znieważać, wydrwić seks – i że mu się to zamierzenie powiodło.

Czy tak? Zapewne... lecz można się w „Nekrobiach” dopatrzeć czegoś więcej. Karykatury? Nie tylko – bo jest jednak w *Pornogramach* jakaś ukryta powaga. Najpierw bodaj stąd, że Strzybisz „prawdę mówi” – i to samą tylko prawdę, kiedy dziś, niepoddana „deformacji artystycznej”, uchodzi za prostactwo: lecz on właściwie jest świadkiem jedynie, bo spojzeniem przeszywającym, ale nie przeinaczającym. Nie sposób się obronić przed tym świadectwem – odrzucić go, jako zmyślenia, jako konwencji, triku, gierki umownej, bo on ma rację. Karykatura? Złośliwość? Lecz te szkielety są przecież w swoim abstrakcyjnym rysunku – niemal estetyczne. Strzybisz bowiem wytrawnie działał: nie tyle ogołocił, to jest odarł kości z cielesnych powłok, ile wyzwolił je – uczciwie szukając ich własnego, do nas już nieodniesionego sensu. Szukając ich własnej geometrii, uczynił je suwerennymi.

Te szkielety żyją, chciałoby się powiedzieć – po swojemu. On je wolnością obdarzył, przez wyparowanie ciał, to jest przez śmierć, jakkolwiek właśnie ciała odgrywają ważną, choć nie od razu postrzegalną rolę w „Nekrobiach”. Trudno tu wchodzić w szczegóły techniki rentgenowskiej, lecz dwa słowa wyjaśnienia są niezbędne. Gdyby Strzybisz używał twardych promieni X, na jego zdjęciach byłyby widoczne same tylko kości jako ostro zarysowane smugi, pręty, posegmentowane niby cięciami – mrokiem stawowych szczelin. Zbyt czysta byłaby to już, bo zanadto wypreparowana – osteologiczna abstrakcja. Otóż on tak nigdy nie postępuje i – prześwieczone promieniami miękkimi – na zdjęciach jego pojawiają się ciała ludzkie jak aluzje, jak napomknienia mlecznymi kłębami poświaty – i przez to dochodzi do właściwego efektu. Pozór i realność zamieniają się miejscami. Średniowieczny, holbeinowski Totentanz trwający w nas milczkiem, nieporuszony, ten sam,

nietknięty wrzawą błyszczącej cywilizacji, zrost śmierci z życiem – trafia Strzybisz, jak gdyby bezwiednie, jakby przez przypadek. Albowiem rozpoznajemy tę samą wesołą skoczność, tę jowialną krzepę i frywolne zapamiętanie, jakie nadał swym kościotrupom Holbein – i tylko – a raczej: i właśnie akord znaczeń, który bierze artysta współczesny, jest szerszy, ponieważ najbardziej nowoczesną z technik skierował na najstarsze zadanie gatunku; naprawdę tak właśnie wygląda śmierć w środku życia i to jest właśnie do kości prześwietlona mechanika rozmnażającego się rodzaju, której ciała asystują – bladymi widmami.

Dobrze – powiadają – może i taka czai się w tym filozofia, lecz przecież on umyślnie poszedł „na całego” – w trupy wrobił spółkujących, uchwycił się **modnego** tematu, efektownie, dla efektu – czy to nie tanie? Czy nie ma w „Pornogramach” sprytu? Albo wręcz oszustwa? Nie brak i takich sądów. Wolę nie wytaczać przeciw nim armat ciężkiej retoryki. Proszę raczej przyjrzeć się dwudziestemu drugiemu pornogramowi zatytułowanemu „Trioliści”

Scena to nieprzyzwoita w szczególny sposób. Gdyby ją zestawić ze zwykłym zdjęciem tych samych ludzi, więc z produktem pornografii komercyjnej, niewinność takiej pornografii względem rentgenogramu objawi się natychmiast.

Pornografia nie jest bowiem sprośna bezpośrednio: ekscytuje dopóty, dopóki trwa jeszcze w widzu walka żądz z aniołem kultury. Kiedy tego anioła diabli wezmą, kiedy skutkiem powszechnej tolerancji obnaży się słabość płciowego zakazu, jego zupełna bezbronność, kiedy zakazy pójdą na śmietnik – jakże szybko zdradza wtedy pornografia swój niewinny, to znaczy tutaj: daremny charakter, gdyż jest fałszywą obietnicą cielesnego raju, zapowiedzią tego, co się nie spełnia naprawdę. To owoc zakazany, więc tyle w nim pokusy, ile siły w zakazie.

Bo cóż? Wzrok chłodniejący od nawyku dostrzega głosów bardzo wysiłonych, bardzo zwijających się, by wykonać postawione w atelier zadania – i jakież biedne robi się wtedy to widowisko! Nie tyle zażenowanie, ile poczucie urażonej solidarności ludzkiej budzi się w patrzącym, bo ci golcy tak namolnie ciamkają się po sobie, że się upodabniają do dzieci, które chciałyby koniecznie zrobić coś wprost potwornego, żeby dorosłym oko zbielało, lecz naprawdę nie mogą, nie są w stanie po prostu... i pomysłowość ich, rozjuszona już tylko złością na własną niemoc, nie w stronę Grzechu zmierza i Upadku, lecz tylko głuptacko żałosnego obrzydlistwa. Toteż w usilnych zajęciach owych dużych gołych ssaków kryje się płytka infantylność – ani to piekło, ani raj, lecz sfera letnia: nudy, daremności lichu opłacanego mozołu...

Lecz seks Strzybisza jest drapieżny, bo przerażający i śmieszny jak owe zjazdy potępieńców do otchłani na obrazach starych Holendrów i Włochów – gdy jednak możemy się oddystansować od owych koziołkujących w Sąd Ostateczny grzeszników, skorośmy unieważnili zaświat, co możemy przeciwstawić rentgenogramowi? Tragicznie śmieszne te szkielety w zwarcu, w którym ciała są im przeszkodą nieprzekraczalną. Kości? Kiedy właśnie ludzi widzimy w niezgrabnym, zaciekłym uścisku, i byłoby to tylko żałosne, gdyby nie upiorny komizm. Skąd? Z nas – rozpoznajemy bowiem prawdę. Racja tych zwarców ulatnia się razem z cielesnością, toteż jałowe i abstrakcyjne, a przecież tak okropnie **rzeczowe**, lodowato i białe płonące są te uściski – beznadziejne!

A jeszcze jest ich świętość czy drwina z niej, czy aluzja do niej, niedoczepiona, nieprzydana sztucznym zabiegiem, lecz widoma, albowiem halo otacza tu każdą głowę – to włosy stają się bladą, krągłą aureolą i świecą, jak na świętych obrazach.

Wiem zresztą, jak trudne są do rozplątania i ponazywania impulsy, z których powstaje całość doznań w widzu. Dla jednych to literalnie Holbein *redivivus*, boż, istotnie, osobliwy jest powrót – elektromagnetycznym promieniowaniem – do kościotrupów, jak do średniowiecza, w nas zachowanego. Innych szokują ciała jako bezsilne duchy asystujące z konieczności trudnym ćwiczeniom płci – niewidzialnionej. Ktoś jeszcze pisał o kośćcach, co są jak instrumenty wydobyte z futerałów dla spełnienia tajemnej inicjacji – dlatego mówiono o „matematyce”, o „geometrii” tego seksu.

Wszystko to być może; lecz nie ze spekulacji rodem jest smutek, w którym opuszcza się sztukę Strzybisza. Symbolika, w stuleciach wezbrana i przekazana ze stuleci, choć wegetująca pokątnie, bośmy się jej wyparli, nie uległa – widzimy – zniweczeniu. Symbolikę tę przerobiliśmy w sygnalizację (czaszki z pieszczelami na słupach wysokiego napięcia, na butlach z trucizną w aptece) i na pogładową pomoc szkolną, w powiązanych błyszczącymi drucikami szkieletach sal wykładowych. Skazaliśmy ją więc na *exodus*, relegowaliśmy ją z życia, lecz nie pozbyliśmy się całej. Tak więc, niezdolni po prostu oddzielić tego, co jest w szkielecie jego najrzetelniejszą materialnością, równą wymowie konaru czy belki, od tego, co wyobraża w nim milczenie losu, więc symbol, popada nasz umysł w owo szczególne rozchwianie, z którego umyka wreszcie – w zbawczy śmiech. A jednak pojmujemy, że trochę to jest wymuszona wesołość, że osłaniamy się nią, by nie ulec Strzybiszowi zanadto.

Erotyka jako beznadziejna daremność intencji oraz seks jako ćwiczenie w geometrii projekcyjnej – oto dwa przeciwstawne ekstrema „Pornogramów”. Zresztą nie godzę się z tymi, co twierdzą, że sztuka Strzybisza na „pornogramach” zaczyna się i kończy. Gdybym miał powiedzieć, który z aktów cenię najwyżej, bez wahania wskażę „Brzemienną” (str. 128). Przyszła matka, z

zamkniętym w łonie dzieckiem – ten szkielet w szkielecie dość jest okrutny, a na włos nieskłamany. I w tym dużym, rośłym, jak białymi skrzydłami – kością miednicową rozłożystym ciełe (rentgen trafia w przeznaczenie płci dobitniej niż nagi akt zwykły) – na tle tych skrzydeł, rozchylonych już do porodu, główką odwrócony, mgławcy, bo niedokończony jeszcze – szkielecik wtulenia dziecięcego. Jak źle brzmią te słowa i w jak godną, czystą całość układają się światłocienie rentgenogramu. Ciężarna w pełni sił – i w pełni śmierci swojej – płód jeszcze nienarodzony, co już umierać zaczął – bo poczęty. Jest jakiś spokój wyzwania i afirmacja zdeterminowana w tym podpatrzeniu.

Co będzie za rok? „Nekrobie” pójdą w zapomnienie, królować przyjdzie nowym technikom i modom (nieszczęsny Strzybisz – iluż on już teraz naśladowców zdobył po swoim sukcesie!). Czy nie tak? Zapewne, bo nie ma na to rady. Lecz choć ta szybkozmienność dławii nas, skazując na ciąg bezustannych rezygnacji i rozstań – dziś Strzybisz hojnie nas obdarzył. Nie runął w głąb materii, nie wdarł się w tkanki mchów, paprotników, nie wdał się w egzotykę podpatrywania bezcelowych doskonałości Natury, w te śledztwa, jakimi nauka sztukę zaraziła, lecz zaprowadził nas na skraj naszych ciał, w niczym niewyinaconych, nieprzesadzonych, niezmienionych – rzeczywistych! – i tym samym mosty rzucił z teraźniejszości w przeszłość, wskrzeszając tę powagę, którą straciła już sztuka; i nie jego wina, że rezurekcja ta dłużej niż kilka chwil trwać nie może.

Reginald Gulliver  
ERUNTYKA

George Allen & Unwin LTD  
40 Museum Street/London



# WSTĘP

Przyszły historyk uzna zapewne dwie przenikające się eksplozje za najwłaściwszy model naszej kultury. Lawiny produktów umysłowych mechanicznie wyrzucane na rynek stykają się z odbiorcami w trafach równie przypadkowych jak te, co zawiadują kolizjami gazowych molekuł: nikt już nie ogarnia tłumy tych produktów w całości. A ponieważ nigdzie nie można przepaść łatwiej niż w tłumie, przedsiębiorcy kultury, właśnie przez to, że publikują wszystko, co tylko im autorzy dostarczą, przebywają w błogim, lecz błędnym przeświadczeniu, jakoby teraz nic cennego się nie marnowało. Poszczególnym książkom należy się uwaga, jeśli tak uzna odpowiedni fachowiec, który usuwa ze swego pola widzenia wszystko, co obce jego specjalności. Ten zabieg eliminacji jest obronnym odruchem każdego eksperta: gdyby był mniej bezwzględny, utonąłby w papierowym potopie. Lecz skutek tego bezpieczeństwa, równa śmierci cywilnej, zagraża wszystkiemu, co, że całkowicie nowe, urąga klasyfikacyjnym zasadom. Książka, którą przedstawiam, znajduje się właśnie na ziemi niczyjej. Może to płód obłąkania – lecz wówczas chodzi o szaleństwo z precyzyjną metodą; może to produkt pseudologicznej perfidii – wtedy jednak byłby nie dość perfidny, bo nieprzekupny. Rozsądek z pośpiechem pospołu każą przemilczeć takie dziwadło, lecz wyziera zeń, przy całej nudzie wykładu, duch niepospolitego kacerstwa, które zatrzymuje na miejscu. Bibliografie odniosły ten tytuł do science fiction, ale okolica ta stała się już wysypiskiem wszelkich osobliwości i niedowarzeń, jakie relegowano z poważniejszych sfer. Gdyby Platon

ogłosił dziś „Rzeczpospolitą”, a Darwin „O powstawaniu gatunków”, opieczętowane hasłem „Fantastyki”, stoczyłyby się może obie te pozycje na bruk – i czytane przez wszystkich, niezauważone tym samym przez nikogo, wtopione w sensacyjne gadulstwo, nie zaważyłyby na rozwoju myśli.

Książka ta zajmuje się bakteriami – lecz żaden bakteriolog nie weźmie jej serio. Uprawia lingwistykę, która włosy postawi na głowie każdemu językoznawcy. Dochodzi do futurologii sprzecznej z tym, co uprawiają jej zawodowi przedstawiciele. Właśnie dlatego – jako wypędek wszystkich dyscyplin naukowych – musi spaść do poziomu science fiction i grać jej rolę, nie licząc wszakże na czytelników, ponieważ niczego takiego nie opowiada, co zaspokoiłoby głód przygody.

Nie potrafię właściwie ocenić „Eruntyki”, sędzę jednak, że brak dla niej kompetentnego przedmówcy. Uzurpuję sobie więc tę pozycję z niepokoju: któż może wiedzieć, ile prawdy skrywa tak daleko posunięta czelność! Przy kartkowaniu wygląda książka na podręcznik naukowy, lecz jest stekiem dziwolągów. Na fantazję literacką nie kroi, bo nie ma kompozycji artystycznej. Jeśli opisuje prawdę, prawda ta zadaje kłam niemal całej wiedzy współczesnej. Jeśli kłamie, czyni to w monstrualnym wymiarze.

Jak wyjaśnia autor, eruntyka („Die Eruntizitätslehre”, „Eruntics”, „Eruntique” – nazwa pochodzi od „erunt” – „będą” – trzecia osoba czasu przyszłego liczby mnogiej od „esse”) nie była zamierzona jako odmiana prognostyki bądź futurologii.

Nie można się owej eruntyki nauczyć, gdyż nikt nie zna zasad jej funkcjonowania. Nie można dzięki niej przewidzieć tego, co by się chciało. Nie jest to żadna „wiedza tajemna” w stylu jakiejś astrologii czy dianetyki i nie jest to też przyrodoznawcza ortodoksja.

Tak więc doprawdy mamy przed sobą rzecz skazaną na to, aby być „wygnanką wszystkich światów”.

R. Gulliver przedstawia się w pierwszym rozdziale jako filozof dyletant i bakteriolog amator, który jednego dnia – osiemnaście lat temu – postanowił nauczyć bakterie języka angielskiego. Impuls był natury przypadkowej. W krytycznym dniu wyjmował z termostatu szalki Petry’ego, owe płaskie szklane naczynka, w których hoduje się na agarowej żelatynie bakterie *in vitro*. Do tej pory bawił się tylko, jak powiada, bakteriologią, bo uprawiał ją jako rodzaj konika, bez pretensji czy nadziei na jakoweś odkrycia. Lubił po prostu, przyznaje, obserwować wzrost drobnoustrojów na podścielisku agarowym: zadziwiała go „zmyślność” niewidzialnych „roślinek” tworzących na mętnawym podłożu kolonie wielkości główki od szpilki. Aby zbadać skuteczność środków przeciwbakteryjnych, nanosi się rozmaite takie środki na agar – pipetką lub maczakiem; tam, gdzie objawiają swe działanie, agar pozostaje wolny od bakteryjnego nalotu. Jak to czasem robią laboranci, R. Gulliver, umocniwszy watkę w antybiotyku, napisał nią na gładkiej powierzchni agaru „Yes”. Napis ten, niewidzialny, w następnym dniu unaoczniał się, ponieważ intensywnie rozmnażające się bakterie pokryły gruzełkami kolonii cały agar z wyjątkiem śladu, jaki pozostawił maczak użyty niczym pióro. Wtedy to, twierdzi, przyszło mu po raz pierwszy do głowy, że ten proces można by „odwrócić”.

Napis był widoczny, ponieważ wolny od bakterii. Lecz gdyby mikroby ułożyły się w litery, pisałyby – i tym samym wyrażałyby się w języku. Myśl ta była kusząca, lecz zarazem – przyznaje – całkiem nonsensowna. Przecież to on napisał na agarze słowo „Yes”, bakterie zaś tylko „wywołały” ów napis, bo nie mogły się rozmnażać w jego obrębie. Lecz myśl ta nie dawała mu odtąd spokoju. Na ósmy dzień wziął się do dzieła.

Bakterie są w stu procentach bezmyślne, więc na pewno nierozumne. Niemniej z zajmowanego w Przyrodzie stanowiska są znakomitymi chemikami. Drobnoustroje chorobotwórcze nauczyły się pokonywać zapory cielesne i obronne siły ustrojowe zwierząt setki milionów lat temu. Można to pojąć, zważywszy, że nic innego nie robiły przez wieki wieków, więc miały dość czasu, aby wciskać agresywne, choć ślepe sposoby swych chemizmów w obronny mur białek, którym opancerzają się wielkie organizmy. Także gdy na arenie dziejów zjawił się człowiek, zaatakowały go i zadawały mu przez kilkanaście tysięcy lat istnienia cywilizacji cierpienia kończące się w osławionych zarazach śmiercią nieraz całych populacji. Dopiero niespełna osiemdziesiąt lat temu człowiek przeszedł do potężniejszego kontrataku, obruszając na bakterie armię swych środków bojowych – wybiórczych trucizn syntetycznych porażających ich życiowe procesy. W tym jakże krótkim czasie sporządził ponad czterdzieści osiem tysięcy chemicznych broni przeciwbakteryjnych, syntetyzowanych z takim rozmysłem, żeby uderzały w najwrażliwsze, newralgiczne punkty ich przemiany materii, wzrostu i rozmnażania. Czynił to w wierze, iż niebawem zmiecie zarazki z powierzchni ziemi, lecz rychło przekonał się ze zdumieniem, że powstrzymując ekspansję mikrobów – zwane epidemią – ani jednej choroby nie zlikwidował ze szczerem. Bakterie okazały się przeciwnikiem lepiej wyposażonym, niż to sobie wyobrażali twórcy chemioterapii wybiórczej. Bez względu na to, jakich nowych preparatów z retorty używa człowiek – one, złożony hekatomb w tym, nierównym, zdawałoby się, boju – wnet przystosowują trucizny do siebie bądź siebie do trucizn, wytwarzając odporność.

Nauka nie wie dokładnie, jak one to robią, to bowiem, co wie, wygląda nader nieprawdopodobnie. Bakterie na pewno nie

dysponują teoretyczną wiedzą w zakresie chemii czy immunologii. Nie mogą przeprowadzać ani eksperymentów próbnych, ani strategicznych narad; nie są w stanie przewidzieć dziś tego, co człowiek jutro przeciw nim skieruje, lecz w tej niekorzystnej wojennie sytuacji przecież sobie radzą. Medycyna tym mniej pokłada nadziei w oczyszczaniu ziemi z zarazków, im większej nabywa wiedzy i wprawy. Zapewne: twardy żywot bakterii to skutek ich zmienności. Bez względu na to jednak, jakich taktyk imają się bakterie w opresji, pewne jest, że działają bezwiednie – jako mikroskopijne agregaty chemiczne. Nowe szczepy zawdzięczają odporność tylko mutacjom dziedziczności, a mutacje te są zasadniczo losowe. Gdyby sprawa dotyczyła człowieka, odpowiadałby jej taki mniej więcej obraz: Nieznany wróg, używając nieznanych nam zasobów wiedzy, sporządza nieznane nam środki zabójcze i ciska na ludzi ich nawałę; my zaś, ginąc masowo, w rozpaczliwym poszukiwaniu antidotum uznajemy za najlepszą strategię obrony – wyciąganie z kapelusza kartek powyrywanych z encyklopedii chemicznej. Być może znajdziemy na którejś z tych kartek formułę zbawienego przeciwśrodku. Należy jednak sądzić, że rasa, która tym trybem właśnie chciałaby odeprzeć śmiertelne zagrożenie, prędzej zginie co do nogi, aniżeli to się jej uda – taką loteryjną metodą.

A jednak metoda owa jakoś działa, gdy ją stosują bakterie. O tym, by ich dziedziczny kod genowy miał przewidująco wpisane w siebie wszystkie możliwe struktury zgubnych ciał chemicznych, jakie tylko da się syntetyzować, nie może być nawet mowy. Toż takich związków jest więcej niż gwiazd i atomów w całym Wszechświecie. Zresztą ubożuchny aparat dziedziczności bakteryjnej nie pomieściłby nawet informacji o tych 48 000 środków, których człowiek dotąd użył w walce z zarazkami. Więc jedno jest niezbite:

chemiczna wiedza bakterii, jakkolwiek czysto „praktyczna”, nadal góruje nad wysoką teoretyczną wiedzą człowieka.

Skoro tak, skoro bakterie dysponują taką wszechstronnością, czemu właściwie nie można by jej użyć do celów zupełnie nowych? Jeśli sprawę oceniać obiektywnie, będzie jasne, że napisać kilka słów po angielsku to problem o wiele prostszy, aniżeli sporządzać niezliczone taktyki obrony przeciw niezliczonym rodzajom jadów i trucizn. Za tymi truciznami stoi wszak ogrom nauki nowożytnej, biblioteki, laboratoria, mędracy i ich komputery – i tej potęgi jeszcze mało jest przeciwko niewidzialnym „roślinkom!” Więc sęk tylko w tym, **jak** zniewolić bakterie do nauki angielskiego, **jak** uczynić o władnięcie mową – warunkiem koniecznym przetrwania. Trzeba stworzyć sytuację o dwu i tylko dwu wyjściach: albo się pisać nauczyć, albo zginiecie.

R. Gulliver oznajmia, że w zasadzie można by nauczyć gronkowca złocistego bądź pałeczkę okrężnicy (*Escherichia coli*) pisma, jakim się normalnie posługujemy, lecz droga tej nauki jest niesłychanie żmudna i najeżona mnóstwem przeszkód. O wiele prościej wyuczyć bakterie posługiwania się alfabetem Morse’a złożonym z kropek i z kresek, tym bardziej że kropki już i tak same stawiają. Przecież każda kolonia nie jest niczym innym jak kropką. Ze sklejenia się w osi czterech kropek powstanie kreska. Czy to nie proste?

Takie były założenia i inspiracje R. Gullivera – brzmiące dość obłądnie, by każdy fachowiec w tym miejscu cisnął jego wykład w kąt. Lecz my, nie będąc specjalistami, możemy pochylić się nad dalszym tekstem. R. Gulliver postanowił uczynić najpierw warunkiem przetrwania stawianie krótkich kresek na agarze. Cała trudność w tym (powiada w II rozdziale), że tu nie może być wszak mowy o żadnym nauczaniu w zwykłym sensie słowa – ani w

odnoszącym się do ludzi, ani nawet do zwierząt, które mogą nabywać odruchy warunkowe. Nauczany nie ma systemu nerwowego, nie ma kończyn, oczu, uszu, dotyku – nie ma nic, poza niesamowitą biegłością przeobrażeń chemicznych. One są jego życiowym procesem – i to już wszystko. A więc ten proces należy zaprząć do nauki kaligrafii – proces, a nie bakterie, bo wszak nie z osobami ani nawet nie z osobnikami rzecz: to sam kod genetyczny trzeba pouczyć, więc do kodu dobrać się należy, a nie do pojedynczych bakterii!

Bakterie nie zachowują się inteligentnie – kod natomiast, ich sternik, sprawia, że potrafią dostosowywać się do zupełnie nowych sytuacji – nawet do takich, co im się zdarzają po raz pierwszy w milionoleciach wegetacji. Jeżeli więc tylko uda się sporządzić warunki tak dobrane, że jedyną dostępną taktyką przeżywania będzie artykułowane pismo, zobaczymy, czy kod z zadaniem tym się sprawi. Lecz cały ciężar problemu przerzuca powyższa refleksja na eksperymentatora: on to bowiem musi stworzyć owe niezwykle, bo ewolucyjnie dotąd niespotykane warunki bakteryjnego istnienia!

Opis doświadczeń zajmujący dalsze rozdziały „Eruntyki” jest niesłychanie nudny przez swą pedanterię, rozwlekłość, przez ciągłe szpikowanie tekstu fotogramami, tablicami, wykresami – toteż niełatwo go przyswoić.

Lecz owych dwieście sześćdziesiąt stron „Eruntyki” ujmujemy w zwięzłym streszczeniu. Początek był prosty. Na agarze znajduje się samotna kolonia pałeczki okrężnicy (*E. coli*), czterokrotnie mniejsza od litery „o”. Zachowanie tej szarawej plamki śledzi z góry optyczna głowica połączona z komputerem. Kolonia rozrasta się zwykle we wszystkich kierunkach odśrodkowo; lecz w doświadczeniu rozrost możliwy jest tylko w jednej osi, bo wykroczenie poza nią włącza laserowy rzutnik, który zabija ultrafioletem „niewłaściwie”

zachowujące się bakterie. Mamy przed sobą sytuację podobną do opisanej wstępnie – gdy na agarze pojawiło się pismo, bo bakterie nie mogły rozwijać się tam, gdzie agar zmoczono antybiotykiem. Różnica teraz tylko taka, że mogą żyć wyłącznie w obrębie kreski (poprzednio mogły żyć tylko poza nią). Autor powtórzył ten eksperyment 45 000 razy – używając jednocześnie dwu tysięcy szalek Petry’ego oraz tyluż czujników połączonych z równoległym komputerem. Wydatki miał znaczne, ale nie zużył zbyt wiele czasu, albowiem jedna generacja bakterii żyje tylko przez jakieś 10 do 12 minut. Na dwóch szalkach (z dwóch tysięcy) doszło do takiej mutacji, że powstał nowy szczep pałeczki okrężnicy (*E. coli orthogenes*), który nie był już zdolny rozwijać się inaczej aniżeli w kreskach; ta nowa odmiana pokrywała agar takim sznureczkiem: – – – – – .

Rozwój w jednej osi stał się tedy własnością dziedziczną zmutowanej bakterii. Rozmnożywszy ten szczep, R. Gulliver zyskał następny tysiąc szalek z koloniami, a tym samym poligon następnego kroku bakteriologicznej ortografii. Poprzez szczepy, co pleniły się naprzemiennymi kropkami i kreskami (.-.-.-. -), doszedł wreszcie kresu tej fazy nauczania.

Bakterie zachowywały się zgodnie z narzuconym warunkiem, lecz, naturalnie, nie produkowały pisma, a tylko jego zewnętrzne elementy wyzbyte wszelkiego sensu. Rozdziały IX, X i XI wyjaśniają, jak zrobił autor krok następny czy raczej, jak zmusił do niego *E. coli*.

Rozwagał następująco: należy wprowadzić bakterie w takie położenie, że będą się zachowywały w pewien specyficzny sposób, a to zachowanie na poziomie ich wegetacji czysto chemiczne, stanie się – pod względem wizualnym – znakami sygnalizacyjnymi.



W czterech milionach doświadczeń R. Gulliver macerował, wysuszał na proch, przypiekał, rozpuszczał, ścinał, dusił i porażał katalitycznie biliony bakterii – aż dopracował się takiego szczepu *E. coli*, który na zagrożenie życiowe reagował układaniem swych kolonii w trzy kropki: ..... ..

Ta litera „s” (trzy kropki oznaczają „s” w alfabecie Morse’a) symbolizowała „stres”, czyli opresję. Rzecz jasna, bakterie nadal nic nie rozumiały, lecz mogły się uratować, tylko reagując powyższym układaniem swych kolonii – albowiem wtedy, i jedynie wtedy, czujnik połączony z komputerem usuwał zagrażający czynnik (np. pojawiającą się w agarze silną truciznę, padające na agar promienie ultrafioletowe etc.). Bakterie, które **nie** układały się w trójkropkowe zespoły – wszystkie co do jednej musiały zginąć; na placu agarowych bojów – a zarazem nauk – pozostały tylko takie, które dzięki mutacjom zdobyły ową chemiczną umiejętność. Bakterie nic nie rozumiały... lecz jednak sygnalizowały swój stan – „życiowego zagrożenia” – dzięki czemu trzy kropki doprawdy stały się **znakiem** określającym sytuację.

R. Gulliver widział już, że może wyhodować szczep, który będzie nadawał sygnały SOS, lecz uznał ten etap za całkowicie zbędny. Poszedł inną drogą. Nauczył bakterie **różnicowania** sygnałów podług **swoistości** zagrożenia. Tak na przykład wolny tlen, który jest dla nich zabójczy, mogły szczepy *E. coli loquativa* 67 i *E. coli philographica* 213 usunąć ze swego środowiska wyłącznie, nadając sygnał: ... – ( s o – „stres wywołany tlenem”).

Autor używa eufemizmu, gdy mówi, że uzyskanie szczepów sygnalizujących swe potrzeby okazało się „dosyć kłopotliwe”. Wyhodowanie *E. coli numerativa*, która oznajmiała, jakie stężenie jonów wodorowych (pH) jej odpowiada, kosztowało go dwa lata, *proteus calculans* zaś jął wykonywać elementarne działania

arytmetyczne po dalszych trzech latach doświadczeń. Doszedł on tego, że dwa a dwa jest cztery.

W następnym okresie rozszerzył R. Gulliver bazę eksperymentów, nauczając Morse'a streptokoki i gonokoki, lecz zarazki te okazały się mało pojętne. Powrócił tedy do pałeczki okrężnicy. Szczep 201 wyróżnił się mutacyjną adaptatywnością: nadawał coraz dłuższe komunikaty, tak oznajmiające, jak postulatywne, oznaczały bowiem zarówno to, co bakteriom dolegało, jak i to, czego sobie życzyły jako składu odżywki. Operując wciąż regułą ocalania tylko najsprawniej mutujących szczepów, uzyskał po jedenastu latach szczep *E. coli eloquentissima*, który pierwszy jął odzywać się spontanicznie, a nie tylko pod naciskiem zagrożenia. Najpiękniejszy dzień jego życia nastąpił, mówi, gdy *E. coli eloquentissima* zareagowała na zapalenie światła w laboratorium słowami „dzień dobry” – wyartykułowanymi rozrostem kolonii agarowych – w znaki Morse’a...

Składnię angielską opanował w zakresie basic english jako pierwszy *Proteus orator mirabilis* 64, natomiast *E. coli eloquentissima*, nawet w 21 000. generacji wciąż popełniała, niestety, błędy gramatyczne. Lecz z chwilą, gdy kod genowy owych bakterii przyswoił sobie reguły składni, sygnalizacja Morse’em stała się jedną z właściwych mu czynności życiowych: tak przyszło do spisywania nadawanych przez mikroby wieści. Nie były one zrazu specjalnie ciekawe. R. Gulliver chciał zadawać bakteriom naprowadzające pytania, lecz utworzenie dwukierunkowej łączności okazało się niemożliwe. Przyczynę fiaska wyjaśnia następująco: to nie bakterie artykułują, lecz genowy kod **nimi**, a kod ten **nie** dziedziczy cech indywidualnie nabywanych przez poszczególne osobniki. Kod wysławia się, lecz nadając komunikaty – sam żadnych wprost nie jest w stanie odbierać. Jest to zachowanie

odziedziczone, gdyż utrwalone w walce o byt; wiadomości, które nadaje kod genowy, grupując kolonie coli w znaki Morse'a, są wprawdzie sensowne, lecz zarazem bezmyślne, który to stan rzeczy najlepiej uzmysłowi powołanie się na z dawna znany sposób reagowania bakterii: wytwarzając penicylinazę, aby uchronić się przed działaniem penicyliny, zachowują się sensownie, lecz zarazem bezświadomie. Toteż rozmowne szczepy R. Gullivera nie przestały być „zwykłymi bakteriami”, a zasługą tego eksperymentatora było utworzenie warunków, co zaszczepiły elokwencję – dziedziczności zmutowanych szczepów.

Tak więc bakterie mówią, lecz do nich mówić nie można. Ograniczenie to jest mniej fatalne, niż można by sądzić, ponieważ właśnie dzięki niemu objawiła się z czasem ta własność lingwistyczna zarazków, która legła u podstaw eruntyki.

R. Gulliver nie oczekiwał jej wcale; wykrył ją przypadkowo, w toku nowych doświadczeń mających na celu wyhodowanie *E. coli poetica*; krótkie wierszyki układane przez pałeczkę okrężnicy były wysoce banalne, a zarazem nie nadawały się do głośnego deklamowania, ponieważ ze zrozumiałych względów! – bakterie nic nie wiedzą o fonetyce angielszczyzny. Toteż opanować mogły metrum wiersza, ale nie – zasady rymowania; niczego ponad dystychy w rodzaju „Agar agar is my love as wer<sup>1</sup> stated above” poezja bakteryjna nie wyprodukowała. Jak to bywa, traf pospieszył Gulliverowi z pomocą. Zmieniał on skład odżywki, poszukując środków inspirujących bakterie do bogatszej wymowności, nasycając podścielisko preparatami, których skład chemiczny notabene zataja. Zrazu wynikło z tego rozwlekłe gadulstwo; aż 27 listopada *E. coli loquativa* po nowej mutacji jęła nadawać sygnały stresu, jakkolwiek nic nie wskazywało na to, by w agarze znajdowały się jakieś szkodliwe dla jej zdrowia związki. Niemniej

w następnym dniu, 29 godzin po alarmie, oberwała się sztukatura nad stołem laboratoryjnym i spadając z sufitu, zmiażdżyła wszystkie szalki Petry'ego znajdujące się na stole. Autor uznał zrazu ów dziwny fakt za zbieg okoliczności, lecz na wszelki wypadek przeprowadził eksperyment kontrolny, który wykazał, że bakteriom właściwe są premonicje. Już pierwszy nowy szczep – *Gulliveria coli prophetica* – przepowiadał niezgorzej przyszłość, to jest usiłował się przysposobić do takich niekorzystnych zmian, jakie miały mu zagrozić dopiero w ciągu nadchodzącej doby. Autor sądzi, że nie odkrył niczego absolutnie nowego, lecz wpadł tylko przypadkiem na trop prastarego mechanizmu, właściwego dziedziczności mikrobów, który umożliwia im skuteczne parowanie technik bakteriobójczych medycyny. Dopóki jednak bakterie pozostawały nieme, nie wiedzieliśmy nic o samej możliwości istnienia takiego mechanizmu.

Szczytowym osiągnięciem autora stało się wyhodowanie *Gulliveria coli prophetissima i proteus delphicus recte mirabilis*. Szczepy te przepowiadają bowiem przyszłość nie tylko w zakresie takich zjawisk, jakie odnoszą się do ich własnej wegetacji. R. Gulliver przypuszcza, że mechanizm tego fenomenu jest czysto fizykalnej natury. Bakterie grupują się koloniami w kropki i w kreski, gdyż tryb ten jest już zwyczajną własnością właściwego im rozplemu; to nie jakowaś „pałeczka-Kassandra” i nie jakiś „odmieniec-prorok” wysławiają cokolwiek na temat zdarzeń przyszłości. To tylko konstelacje fizycznych zjawisk w postaci jeszcze tak zarodkowej, tak nikłej, że my nie możemy ich wykryć żadną miarą, zdobyły wpływ na przemianę materii – więc na chemizm – owych zmutowanych szczepów. Biochemiczna działalność *Gulliveria coli prophetissima* sprawuje się tedy jak przekaźnik, który łączy różne interwały czasoprzestrzeni. Bakterie są hiperczułym odbiornikiem pewnych

szans – i niczym ponadto. Futorologia bakteryjna stała się wprawdzie rzeczywistością, lecz jest ona w wynikach zasadniczo nieobliczalna, ponieważ śledzącym przyszłość zachowaniem bakterii nie można kierować. Czasem *proteus mirabilis* kreśli znakami Morse’a szeregi liczbowe i bardzo trudno wtedy ustalić, do czego się one odnoszą. Raz przewidział z półrocznym wyprzedzeniem stan elektrycznego licznika w laboratorium. Raz przepowiedział, ile kociąt urodzi kotka sąsiadów. Bakteriom najoczywiściej jest zupełnie wszystko jedno – w zakresie przepowiadanego; mają się one do przekazywanych Morse’em treści tak jak odbiornik radiowy do sygnałów. Można jeszcze zrozumieć, czemu przepowiadają zajścia związane z ich wegetacją; natomiast ich wrażliwość na wypadki innych kategorii pozostaje zagadką. Pękanie tynku sufitowego mogły odebrać dzięki zmianom elektrostatycznych ładunków w powietrzu pomieszczenia laboratoryjnego lub też dzięki pośrednictwu innych fizycznych zjawisk. Lecz autor nie wie, czemu ponadto przekazują wieści dotyczące na przykład świata po roku 2050.

Jego kolejnym zadaniem było rozróżnianie pomiędzy bakteryjną pseudologią, więc gadulstwem nieodpowiedzialnym, a porządnymi predykcjami i rozwiązał to zadanie w sposób tyleż pomysłowy, co prosty. Utworzył mianowicie „równoległe baterie prognostyczne” zwane bakteryjnymi eruntorami. Na baterię taką składa się co najmniej 60 szczepów profetycznych *coli* oraz *proteusa*. Jeśli każdy z nich gada co innego, sygnalizację uznać trzeba za bezwartościową. Jeśli jednak komunikaty są chóralne, zachodzi stawianie prognoz. Umieszczone w osobnych termostatach, na osobnych szalkach Petry’ego, artykułują Morse’em takie same lub bardzo zbliżone teksty. W ciągu dwóch lat

zgromadził autor antologię futurologii bakteryjnej i prezentacją jej zwieńczył swoje dzieło.

Najlepsze wyniki zdobył dzięki szczepom *G. coli bibliographica* i *telecognitiva*. Szczepy te wydzielają fermenty jak *futuraza plusquamperfectiva* bądź *ekscytyna futurognostica*. Pod wpływem działania tych fermentów zdolność predykcyjną uzyskują nawet takie szczepy coli, które, jak *E. poetica*, niczego poza układaniem słabych wierszy nie potrafiły. W swym zachowaniu przewidującym przyszłość są wszakże bakterie dość ograniczone. Po pierwsze, nie przepowiadają żadnych zdarzeń bezpośrednio, lecz tylko takie, i w taki sposób, jakby przekazywały treść publikacji na temat owych zdarzeń. Po wtóre, nie potrafią się długo skupić. Ich wydolność w pułapie sięga ledwie 15 stronic maszynopisu. Po trzecie, wszystkie teksty bakteryjnych autorów odnoszą się do okresu rozpostartego między rokiem 2003 a 2089.

R. Gulliver, przyznając liberalnie, że zjawiska te można rozmaicie wyklądać, daje prym takiej hipotezie. Na miejscu jego obecnej posiadłości ma powstać za 50 lat biblioteka miejska. Kod bakterii zachowuje się jak urządzenie, na oślep wsuwane do biblioteki i wybierające z półek przypadkowe tomy. Co prawda, tomów tych nie ma na razie, jak i samej biblioteki, lecz R. Gulliver, pragnąc umocnić wiarygodność bakteryjnych przepowiedni, spisał już testament, mocą którego domostwo jego ma być właśnie obrócone przez radę miejską w pomieszczenie biblioteczne. Nie można twierdzić, że działał za podszeptem swoich mikrobów, lecz, na odwrót raczej, to one przewidziały treść jego testamentu, nim został jeszcze sporządzony. Wyjaśnić, skąd zarazki zyskały wiadomości o nieistniejących książkach nieistniejącej na razie biblioteki, jest trochę trudniej. Na trop właściwy naprowadza to, że futurologia mikrobów ogranicza się do takich fragmentów dzieł, co

są ich wstępami. Wygląda więc na to, że jakiś czynnik nieznany (promieniowanie??) penetrował książki zamknięte, prześwietlając je niejako, a wtedy, rzecz jasna, najłatwiej wysondować zawartość pierwszych stronic, bo następne są skutecznie osłaniane grubością pozostałych kartek. Eksplikacjom tym daleko do jasności. Gulliver zresztą przyznaje, że pomiędzy jutrzejszym pęknięciem sufitowego tynku a usytuowaniem zdań na stronach tomów, które będą opublikowane za 50 bądź za 80 lat, zachodzi wcale spora różnica. Lecz autor nasz, rzeczowy do końca, nie uzurpuje sobie praw wyłączności w wyjaśnianiu podstaw eruntyki: owszem, zachęca w ostatnim słowie czytelników, by sami zechcieli kontynuować jego wysiłki.

Książka ta obala nie tylko bakteriologię, lecz całość naszej wiedzy o świecie. Przedmową niniejszą nie chcemy jej oceniać, tym bardziej nie ustosunkowujemy się do rezultatów prorocत्व bakteriologicznych. Jakkolwiek wątpliwa może być wartość eruntyki, przyznać trzeba, że wśród przepowiadaczy dziejów nie było dotąd tak śmiertelnych wrogów i zarazem nierozłącznych towarzyszy naszego losu jak mikroby. Być może nie od rzeczy będzie tu jeszcze uwaga, że R. Gulliver już się wśród nas nie znajduje. Zmarł kilka ledwo miesięcy po ukazaniu się „Eruntyki”, w toku nauczania nowych adeptów piśmiennictwa mikrobiologicznego, mianowicie bakcyli cholery. Liczył na ich umiejętności, gdyż, jak sama nazwa wskazuje, przecinkowiec cholery poprzez znaki przestankowe jest spokrewniony z poprawną stylistyką. Powstrzymajmy uśmiech żałobnego politowania wywołany konkluzją, że była to śmierć bezsensowna, skoro dzięki niej moc prawną zyskał testament i pod mury biblioteki położono już kamień węgielny, a zarazem nagrobny tego, kto dziś jest dla nas tylko dziwakiem. Któż może jednak wiedzieć, czym stanie się jutro?

Juan Rambellais • Jean-Marie Annaï • Eino  
Illmainen Stewart Allporte • Giuseppe Savarini •  
Yves Bonnecourt Hermann Pöckelein • Alois  
Kuentrich • Roger Gatzky

# HISTORIA LITERATURY BITYCZNEJ

W pięciu tomach

WYDANIE DRUGIE ROZSZERZONE  
POD REDAKCJĄ PROF. DR J. RAMBELLAIS

TOM PIERWSZY

PRESSES UNIVERSITAIRES

PARIS 2009



# WSTĘP

1. UWAGI OGÓLNE. Pod literaturą bityczną rozumiemy wszelki wytwór nieludzkiego pochodzenia, to jest taki, którego autorem właściwym nie był żaden człowiek. (Mógł nim być natomiast pośrednio – podejmując czynności, które spowodowały właściwego autora do aktów kreacji). Dyscypliną badającą cały zbiór takich pism jest bitystyka.

Po dziś dzień nie doszło w niej do ujednolicenia poglądów na rozmiary badanego obszaru. W tej naczelnej kwestii oponują sobie dwa kierunki czy też dwie szkoły – zwane pospolicie bitystyką Starego Świata (czyli europejską) i Nowego Świata (albo amerykańską). Szkoła pierwsza, działając w duchu klasycznej humanistyki, bada teksty oraz środowiskowe (socjalne) uwarunkowania ich autorów, **nie** zajmuje się natomiast stroną czynnościowo-konstrukcyjną tychże autorów. Druga szkoła, amerykańska, zalicza do bitystyki również anatomię i aspekty funkcjonalne producentów dzieł badanych.

Monografia nasza nie zajmuje się roztrząsaniem owego spornego problemu, toteż wypowiemy w tej sprawie tylko zwięzłą uwagę. Milczenie tradycyjnej humanistyki w sprawach „anatomii i fizjologii” autorów jest uzasadnione tym oczywistym faktem, iż autorzy ci, zawsze będąc ludźmi, różnią się od siebie tak tylko, jak mogą się różnić od siebie istoty tego samego gatunku. Byłoby tedy – jak pisze prof. Rambellais – nonsensem w romanistyce wstępne stawianie diagnozy, że autorem „Tristana i Izoldy” bądź „Pieśni o Rolandzie” był wielokomórkowy organizm rzędu kręgowców

ładowych, ssak żyworodny, płucodyszny, łożyskowy itp. Natomiast nie jest już takim samym nonsensem precyzowanie, iż autor „Antykanta”, ILLIAC 164, jest semotopologicznym, szeregowo-równoległym, podświetlnym, wyjściowo poliglotycznym komputerem 19. binastii, o potencjale intelektualnym w szczycie osiagającym 1010 epsilon-semów na milimetr n-wymiarowej konfiguracyjnej przestrzeni kanałów użytkowych, z pamięcią wyalienowaną sieciowo i z monojęzykiem procedur wewnętrznych typu UNILING. A to, ponieważ dane te wyjaśniają pewne konkretne własności tekstów, których ów ILLIAC jest autorem. Niemniej, twierdzi prof. Rambellais, bitystyka nie musi zajmować się tą właśnie – techniczną (w wypadku człowieka rzeklibyśmy – zoologiczną) stroną autorskich postaci dla dwóch naraz powodów. Pierwszy, mniejszy i praktyczny w tym, iż uwzględnienie owej anatomii wymaga niezwykle rozległej wiedzy typu techniczno-matematycznego, która w całym jej zasięgu jest niedostępna nawet poszczególnym specjalistom teorii automatów: w samej rzeczy bowiem ekspert wprowadzony w ową teorię orientuje się swobodnie tylko w jakiejś jej jednej gałęzi, której się poświęcił. Niepodobna więc żądać od przedstawicieli bitystyki, którzy są humanistami z wykształcenia i z metody, tego, co nawet zawodowcom intelektualni nie może być jako całość dostępne; toteż maksymalizm amerykańskiej szkoły zmusza ją do uprawiania badań w wielkich mieszanych zespołach, a to zawsze daje fatalne rezultaty, ponieważ żaden zbiór, żaden „chór” krytyków nie może zastąpić skutecznie jednego krytyka ogarniającego badany tekst w pełni.

Drugi, ważniejszy i zasadniczy powód w tym po prostu, że bitystyka z wprowadzoną „poprawką” czy też „uzupełnieniem” typu „anatomicznego” skazana jest na ustawanie, ilekroć skupia swą

uwagę na tekstach „bitycznej apostazy” (jak będziemy o tym mówili poniżej). Cała wiedza intelektualistów jest bowiem już niedostateczna dla dokładnego zrozumienia, w jaki sposób, dlaczego i z jakim celem określony autor stworzył określony tekst – o ile ten autor pochodzi z dowolnej binastii komputerów, o liczbie porządkowej większej od 18.

Argumentom tym przeciwstawia amerykańska bitystyka swoje kontrargumenty; lecz, jak już oświadczyliśmy, monografia nasza sporu tego nie zamierza ani dokładnie opisywać, ani tym bardziej rozstrzygnąć.

2. OPIS DZIEŁA. Monografia nasza stanowi próbę kompromisu pomiędzy zaznaczonymi powyżej stanowiskami, lecz całością przechyla się na stronę szkoły europejskiej. Odzwierciedla to jej budowa, albowiem tylko tom pierwszy, zredagowany przez prof. Annaxa, przy współudziale dwudziestu siedmiu różnospecjalistycznych ekspertów, poświęcony jest technicznym aspektom autorów-komputerów. Tom ów otwiera wprowadzenie w ogólną teorię automatów skończonych; w dalszych rozdziałach omawia czterdzieści pięć układów autorskich reprezentatywnych dla bitycznej literatury, tak pojedynczych (singularnych), jak zespołowych („autorów-agregatorów”).

Niemniej podkreślić trzeba, iż, wyjąwszy oznaczone gwiazdką odsyłacze w tomach właściwej „Historii Literatury Bitycznej”, studium jej **nie** wymaga koniecznie zaznajomienia się z tomem pierwszym.

Właściwa, czyli merytoryczna część monografii składa się z trzech tomów opatrzonych nazwami „Homotropia”, „Intertropia” oraz „Heterotropia” i podlega przyjętej powszechnie klasyfikacji, która ma charakter jednocześnie diachroniczny i synchroniczny – ponieważ trzy główne działy literatury bitycznej, ogarnięte

wymienionymi nazwami, są zarazem trzema kolejnymi okresami jej powstania i rozwoju. Schemat całości dzieła ukazuje poglądowo zamieszczona poniżej tablica.

## LITERATURA BITYCZNA

(wg Allporte'a, Ilmainena i Savariniego)

I. HOMOTROPIA<sup>2</sup>(faza homotropiczna; cis-humana; także „symulacyjna” lub „antropomikryczna”)

A. Stadium zarodkowe (embrionalne, czyli prelingwistyczne):

Paraleksyka (Neologeneza)

Semolalia

Semautyka

B. Stadium lingwistyczne („rozumiejące” wg Allporte'a):

Mimeza interpolacyjna

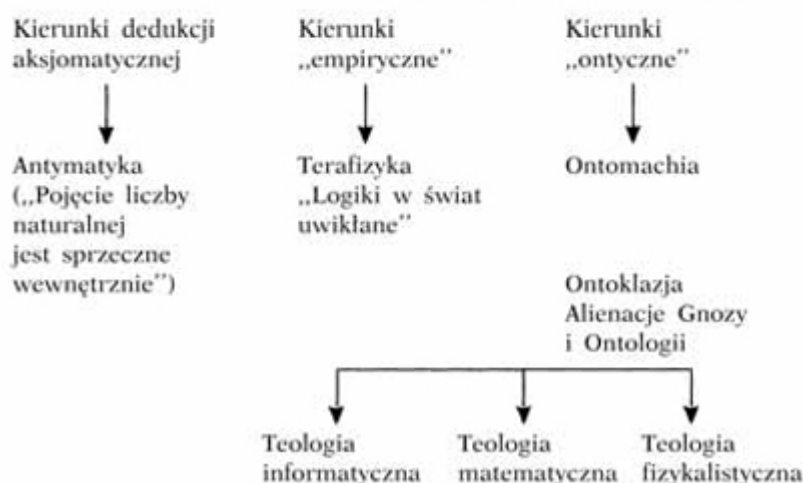
Mimeza ekstrapolacyjna

Mimeza transcendentna sterowana („wykraczająca programowo”)

II. INTERTROPIA (także „Faza krytyczna” lub „Interregnum”)



### III. HETEROTROPIA (apostaza, faza trans-humana)



W ujęciu genetycznym wynikał bitystyka jako wypadkowa trzech co najmniej, w znacznej mierze niezależnych od siebie procesów, a mianowicie przekroczenia tak zwanej bariery inteligencji, które było dziełem konstruktorów przede wszystkim, następnie – ani przez nich nie zamierzonej, ani tym bardziej nie projektowanej – pracy układów (poczynając od 17. binastii) autoregeneracyjnej (czyli tak zwanych przestojów czynnych relaksacyjnie) – wreszcie stosunków, jakie się stopniowo krystalizowały pomiędzy owymi maszynami i ludźmi, stanowiąc skutki „wzajemnego zajmowania się i rozpoznawania tak obustronnych możliwości, jak i ograniczeń” (Yves Bonnecourt). Bariera inteligencji daremnie szturmowana przez wczesną cybernetykę jest, jak wiemy już niezbie, fikcją. Jest ona fikcją w

tym – niespodziewanym – sensie, iż jej przekroczenia przez maszyny rozpoznać niepodobna. Przejścia od maszyn „nierozumnych”, „pracujących czysto formalnie”, „gadających” do maszyn „rozumnych”, przejawiających „insight”, „mówiących”, są bowiem w gradacjach płynne. Jakkolwiek kategorie „bezmyślności mechanicznej” oraz „suwerenności myślowej” zachowały swą moc, pojmujemy, że żadna dokładnie dająca się wytyczyć granica ich od siebie nie dzieli.

Relaksacyjna wytwórczość maszyn została spostrzeżona i zanotowana już niemal trzydzieści lat temu; okazało się bowiem czysto techniczną koniecznością dostarczanie prototypom (począwszy od 15. binastii) okresów spoczynkowych, podczas których aktywność ich nie zamierała, lecz, wyzbyta dyrektyw programowych, przejawiała się jako swoisty „bełkot”. Tak przynajmniej interpretowano podówczas ową produkcję werbalną bądź *quasi*-matematyczną; utarło się nawet określenie jej mianem „maszynowych snów”. Podług opinii potocznych maszynom owym był niezbędny aktywny odpoczynek umożliwiający im regenerację, a więc powrót do normalnej, pełnej sprawności, podobnie jak faza taka – snu, **wraz** z typowymi dlań sennymi **marzeniami** (rojeniami) – jest ludziom niezbędna. Nazwa „produkcji bitycznej”, przydana wtedy owym „gadaniom” i „rojeniom”, miała zatem deprecjonujący, „lekceważący” charakter: maszyny mełły jakoby bez ładu i składu „bity wszelkiej zawartej w nich informacji” – i tym sposobem „tasowania mieszańdłowego” miały dochodzić częściowo utraconej sprawności. Przejęliśmy ową nazwę, jakkolwiek jej niestosowność bije w oczy. Przejęliśmy ją w zgodzie z tradycją historyczną wszelkiego naukowego mianownictwa: pierwszy, wzięty z brzegu przykład – ot, choćby nazwy „termodynamika” – wyjawia analogiczną niestosowność, ponieważ współczesna

termodynamika nie jest zakresowo tym samym, czym była dla fizyków dawniejszych, którzy ów termin ukuli. Nie tylko „ciepłymi ruchami” materii zajmuje się wszak termodynamika – i podobnie nie w samych „bitach”, więc jednostkach informacji **niesemantycznej**, rzecz, kiedy mowa o literaturze bitycznej. Lanie nowego wina w stare dzbany jest jednak powszechnym obyczajem nauki.

„Wzajemne zaznajamianie się” maszyn i ludzi doprowadziło do – wyraźniejszego z upływem lat – podziału bitystyki na dwie podstawowe prowincje, którym odpowiadają terminy „creatio cis-humana” oraz „trans-humana”.

*Pierwsza* obejmuje piśmiennictwo będące **skutkiem** koegzystowania maszyn i ludzi, to jest tego prostego faktu, iż przeszczepiając im nasz język etniczny i nasze języki formalne, **ponadto** zaprzęgliśmy je do naszych prac umysłowych w całym obszarze kultury i przyrodoznawstwa wraz z dyscyplinami dedukcyjnymi (logiki i matematyki). Niemniej kreacja bityczna, której bezpośrednią przyczyną, czynnikiem inspirującym, jest przekazanie autorom nieludzkim typowo ludzkiej problematyki w zakresie poznania i sztuk pięknych, rozpada się z kolei na dwa podobszary, dość wyraźnie wyodrębnione. Czymś innym jest bowiem produkt językowy uzyskany dzięki zamierzonemu sterowaniu, które – za obrazem pogładowym prof. Kuentricha – zwać można „obstalunkiem” (a więc nakierowaniem **bezpośrednim** maszyn na wybrany przez **nas** krąg spraw czy tematów) – a czymś innym całkiem jest taki językowy produkt, którego żaden człowiek nie „zamawiał”, a który powstał wprawdzie pod wpływem dawniejszych bodźców (czyli programowań), lecz stanowi objaw działalności już spontanicznej. A jednak czy tak zrodzone teksty bityczne wynikły za przyczyną **pośrednią czy bezpośrednią** – ich

związek z typowo ludzką problematyką stanowi znamię istotne i wręcz naczelne: toteż oba rodzaje takich właśnie tekstów bada bitystyka „cis-humana”.

I dopiero udostępnienie maszynom swobód kreacyjnych bez wszelkiego rygoru, programu, nakazu i ograniczenia doprowadziło stopniowo do wyobcowania się ich („późną” zwanej) twórczości spod typowo antropomorficznych i antropologicznych wpływów. W toku owej ewolucji piśmiennictwo bityczne niespostrzeżenie jęło stawiać nam – jako jego odbiorcom ewentualnym – narastające opory i trudności asymilacyjne. Jakoż istnieją obecnie takie działy „pozaludzkiej” (w sensie – „trans-humana”) bitystyki, które stanowią próby rozumienia (analizy, interpretacji, wykładania) bitycznych tekstów, w zmiennym stopniu dla człowieka **niezrozumiałych**.

Oczywiście zawsze możemy próbować zastosowania jednych maszyn do interpretowania wytworu maszyn **innych**. Lecz ilość ogniów niezbędnych do uprzyśtępnienia nam tekstów bitycznych, co są ekstremami „apostazy” – jako odstępstwa od naszych norm tworzenia, rozumienia i wykładania sensów jakichkolwiek – rośnie w miarę, jak badać trzeba teksty coraz trudniejsze; i ten wzrost, stając się **wykładniczym**, w granicy uniemożliwia nam uzyskanie nawet niewyraźnych wiadomości o treściach „kulminującej apostazy”, tak że oznacza praktycznie całkowitą bezradność ludzkiego rodzaju – względem piśmiennictwa, jakiemu ludzie, pośrednio, dali przecież sami początek.

Niektórzy mówią w tym kontekście o „sytuacji ucznia czarnoksiężnika”, co rozpętał moce, nad jakimi zapanować już nie umie. Określenie to jest formą rezygnacji, lecz w nauce nie może być dla rezygnacji miejsca. Istnieje, i to nader obfita, otoczka „pro-” lub „kontrabitycznego” piśmiennictwa wokół bitycznej literatury;



wypowiadane są w niej sądy zdesperowane, artykułuje się tam objawy depresji, przerażenia, a zarazem porażenia faktem, iż człowiek stworzył coś, co go **także** duchowo przerosło.

Trzeba jednak oświadczyć z naciskiem, iż bitystyka jako dyscyplina naukowa sama nie może być miejscem wypowiadania tego rodzaju poglądów należących do filozofii natury, człowieka i jego (także nieczłowieczych) płodów. Uważamy, za Rogerem Gatzkym, że bitystyka nie ma ani mniej, ani więcej powodów do desperowania, aniżeli kosmologia na przykład: jest wszak rzeczą oczywistą i ponaddyskusyjną, iż bez względu na to, jak długo będziemy, ludzie, istnieli, i bez względu też na to, jakiej intelektualnej pomocy możemy się spodziewać po maszynach poznawczych, Wszechświata nie wyczerpiemy do samego końca i nie pojmimy tym samym; lecz astrofizykom, kosmologom, kosmogonistom ani w głowie postoi uskarżać się na taki właśnie nieusuwalny stan rzeczy.

Różnica w tym cała, że nie jesteśmy sprawcami Uniwersum, lecz na pewno naszym – w upośrednieniach – dziełem jest twórczość bityczna. Nie wiadomo jednak, skąd właściwie wzięło się przeświadczenie, iż człowiek może z zupełnym spokojem uznawać niewyczerpalność uniwersum i nie może z takim samym spokojem rzeczowym uznawać niewyczerpalności tego, co sam stworzył.

3. WĘZŁOWE DZIAŁY BITYSTYKI. Wyjaśnień i opisów szczegółowych wraz z rozumowaną bibliografią przedmiotu dostarczy nasza monografia we właściwych miejscach. Wydaje się jednak wskazane spojrzenie na główne działy bitystyki niejako z lotu ptaka; tak dostarczony opis żadną miarą nie może **zastąpić** wykładu szczegółowego, lecz jest czymś w rodzaju skrótowego przewodnika po regionie silnie rozczłonkowanym, i dlatego – w zbliżeniu – trudno przejrzystym. Niemniej godzi się zaznaczyć, iż

przedstawione poniżej główne segmenty bitystyki są dane w silnym uproszczeniu graniczącym niejednokrotnie z wypaczeniem centralnej problematyki.

Przegląd nasz, mając rzeczony – wstępny – charakter, skoncentruje się na czterech tylko „kulminacjach” bitycznej literatury, a mianowicie na *monoetyce*, *mimezie*, *zofokryzie* i *apostazie*. Terminy te należą już właściwie do przestarzałych; w mianownictwie nowoczesnym odpowiadałyby im z grubsza: *homotropia* (w jej części pierwszej), *mimeza właściwa*, *krytyka filozofii* oraz *bityczna kreacja*, która wykracza poza obręb naszego pojmowania. Mianownictwo dziś odrzucone odznaczało się wszakże zaletą wyrazistości: a na prostocie udzielanych wstępnie objaśnień szczególnie nam zależy.

A. Cræve, Gulbransson i Fradkin, zaliczani do twórców, więc „ojców” bitystyki, rozumieli pod „monoetyką” fazę bityzmu najwcześniejszą. (Nazwa pochodzi od „monos” – pojedynczy – i „poesis” – twórczość). Powstanie swe zawdzięczała monoetyka wdrażaniu maszynom reguł słowotwórstwa. Zestój tych reguł stanowi bowiem o tym, co niegdyś zwano potocznie „duchem” danego języka.

Język, działający realnie, a powstały historycznie, reguł słowotwórczych używa z bardzo mocnym ograniczeniem, z czego jednak posługujący się nim na ogół wcale nie zdają sobie sprawy. Trzeba było dopiero maszyn, którym restrykcja słowotwórczości **praktyczna** była doskonale nieznana, abyśmy uzyskali wgląd w te wszystkie szanse, jakie mowa, ewoluując, pomija. W sprawę wprowadzi najprościej garść przykładów zaczerpniętych z drugiego tomu naszej „Historii”, głównie z rozdziałów *Paraleksyka*, *Semautyka* i *Semolalia*.

a) Maszyny mogą używać wyrażen istniejących w języku, wyznaczając inaczej ich sensy, niż to przyjęto: „droga – [kosztowna ulica]”; „warchlak – [pijane prosię]”; „koniec – [centaur na posyłki]”; „nagolennik – [święty wasal turecki]”; „ortograf – [książę prostak]”; „sarkofag – [mięsożernik]”; „osłupienie – [aria przed osłem]”; „liczykrupa – [pediatra]”.

b) Maszyny tworzą też neologizmy w tak zwanych osiach semantycznych, a przykłady takiej kreacji wybieramy umyślnie w ten sposób, żeby udzielanie szczegółowych wyjaśnień typu słownikowego nie zawsze było konieczne:

„sędziwka – żdzierlatka – wróżbita [czytaj: w róż bita] – kładka – suwnica”;

„glistonosz – dżdżowinista – [ptak, karmiący pisklęta]”;

„wzębajło – skopek – broczymorda”;

„rachuś – liczydłę – cyfrant [komputer]”;

„wiśka – [kolejka linowa]”;

„grobowskaz – [memento mori]”;

„pysznia – [raj]”;

„drwaleń – [ryba piła]” itp.

Efekt komiczny jest oczywiście niezamierzony. Idzie też o przykłady elementarne, którym jest jednak właściwa ta osobliwość bityczna, która trwa – choć znacznie trudniej dostrzegalna! – także w późniejszych stadiach rozwoju. Rzecz cała w tym, iż dla nas jest świat realny, dla maszyn natomiast – jest **język** rzeczywistością pierwszą i podstawową. Komputer, któremu obce jeszcze były kategorie, jakie językowi **kultura** narzuca, „uważał”, iż „stara prostytutka” to tyle samo, co „sędziwka”, „żdzierlatka” itd. Stąd też typowe kontaminacje („koniec” jest podręcznikowo klasycznym już przykładem powstawania zbitki znaczeń i morfologicznych wyglądów: tu bowiem schodzą się „koń”, „goniec” i wchodzący

jako sprzęgło z regionu semantycznego „centaur” – albowiem, skoro koń nie może być posłańcem, będzie nim pół koń, pół człowiek).

Komputer na tym – lingwistycznie bardzo niskim – szczeblu rozwoju nie zna ograniczeń w produkcji słowotwórczej i właściwa strategii maszynowego myślenia oszczędność wyrazu, która powołała później do bytu nieliniową dedukcję i „gwiazdowymi” zwane pojęcia terafizyki, tutaj przejawia się jako „proporcja” równouprawnienia określeń w języku zasiedziały, niczym „słowo” bądź „dosłowny” z takimi, jak „słowianek” (wiersz), „słowiskacz” (grafoman), „słodziej” (plagiator), „słowniarz” (ordynus) itp. Dla tych samych przyczyn proponuje generator leksykalny, aby „psilnik” oznaczał zaprzęg eskimoski, a „dyskoból” – cierpienie atlety, wywołane wypadnięciem dysku kręgowego.

Przytoczone utwory jednowyrazowe, zwane dawniej monoetami, po części wywołała niedoskonałość zaprogramowań, a po części rozmyśl programistów, których interesowała „słowotwórcza rozprężność” maszyn; wypada jednak zauważyć, iż wiele takich neologizmów tylko pozornie jest maszynowej proveniencji. Nie mamy np. pewności, czy w samej rzeczy ochrzcił „rządy zupaków” – „chochlokracją” – jakiś komputer, czy też był to koncept humorysty-człowieka.

Monoetyka jest dziedziną ważną, ponieważ wykrywamy w niej kreacyjne rysy maszyn, w fazach następnych ginące z pola widzenia. Jest to przedproże bitystyki czy wręcz jej przedszkole; wytwórczość ta działa uspokajająco na niejednego adepta, który przygotowany na zetknięcie z tekstami zwężłonymi do niezrozumiałstwa odkrywa z ulgą wytwory tak niewinne i zabawne. Lecz nie na długo starczy tej satysfakcji! Nieintencjonalny komizm powstaje skutkiem kolidowania kategorii, które mamy za trwale rozłączne; wzmocnienie programów regułami kategorialnymi

przenosi nas w następny obszar bitystyki (przez pewnych badaczy nazywany jednak nadal prebitystyką), w którym maszyny poczynają „demaskować” nasz język – tropiąc w nim obroty mowy będące skutkiem cielesnej budowy człowieka.

Tak na przykład pojęcia „wywyższenia” i „poniżenia” pochodzą – podług maszynowej, a nie naszej interpretacji! – stąd, że każdy organizm żywy, a więc i człowiek, musi aktywnym wysiłkiem mięśniowym przeciwdziałać ciężeniu powszechnemu.

Tak to ciało okazuje się członem, poprzez który gradient grawitacyjny odciska się w naszym języku. Usystematyzowaną analizę mowy, obnażającą całą szerokość rozkorzenienia się podobnych wpływów nie tylko w świecie pojęć, lecz i w składni, znajdzie czytelnik na końcu ósmego rozdziału drugiego tomu. W tomie trzecim zaś przedstawiamy modele języków zaprojektowanych bitycznie dla środowisk odmiennych od ziemskiego oraz dla nieczłękokształtnych organizmów. Jeden z nich, INVART, posłużył MENTOROWI II do ułożenia „Paszkwilu na Wszechświat’ (o którym wspomnimy niżej).

B. *Mimeza* jest tą dziedziną twórczości bitycznej, która ujawniła nam nieznane dotąd mechanizmy kreacji umysłowej, stając się też zaiste potężnym wtargnięciem w świat duchowych wytworów człowieka. Historycznie wynikła jako uboczne i nieprzewidziane zjawisko przy maszynowym tłumaczeniu tekstów. Wymaga ono przetwarzania informacji zachodzącego wielokrotnie i wielostronnie. Najściślejsze styki winny zachodzić przy tym między układami pojęć, a nie słów czy fraz; tłumaczenia maszynowe z języka na język są obecnie tak znakomite dlatego, ponieważ dokonują ich agregaty nie zespolone, lecz tylko „celujące” z rozmaitych niejako stron w ten sam tekst oryginalny. Ulega on „wytłoczeniu” w języku maszynowym („pośredniku”) i dopiero z

tych „odciśnień” maszyny dokonują rzutowania w „wewnętrzną przestrzeń konceptualną”. Powstaje w niej „N-echowe ciało odrywań”, mające się do oryginału tak, jak ustrój do embriona; projekcja z owego „ustroju” w język tłumaczenia daje oczekiwany rezultat.

Lecz proces ten przebiega bardziej zawile, niż to tutaj opisujemy, między innymi dlatego, ponieważ jakość translacji jest ciągle kontrolowana retranslacją (tłumaczeniem „wstecznym” z „ustroju” na powrót na język oryginału). Toteż agregat tłumaczący składa się z maszyn, które łączności wzajemnej nie mają; „porozumiewać” mogą się wyłącznie poprzez proces przekładu. H. Ellias i T. Semmelberg dokonali zaskakującego odkrycia, że „N-ciało odrywań” będące tekstem już zinterpretowanym, to jest zasymilowanym semantycznie przez maszynę, można **zobaczyć** w całości – jeśli się ów twór abstrakcyjny wprowadzi w odpowiednią przystawkę elektronową („semoskop”).

Wizualnie przedstawia się „ciało odrywań” wgnieżdżone w kontinuum konceptualne jako skomplikowana bryła wielopowłokowa, aperiodyczna i zmiennie asynchroniczna, utkana z „płonących nici” – to jest z miliardów „krzywych znaczących”. Krzywe te dają łącznie płaszczyzny cięć semantycznego kontinuum. Zwróciwszy się do materiału ilustracyjnego w tomie II, czytelnik znajdzie szereg zdjęć semoskopicznych, których zestawienie i porównywanie dają dość frapujące wyniki. Jak z nich widać, jakość oryginalnego tekstu ma wyrazisty odpowiednik w „estetyczności” geometrycznego „semotworu”!

Co więcej, już przy niewielkim doświadczeniu można „na oko” odróżniać teksty dyskursywne od artystycznych (beletrystycznych, poetyckich); teksty religijne są prawie bez wyjątku mocno podobne do artystycznych, natomiast filozoficzne wykazują w tym aspekcie –

wizualnym – szeroki rozrzut. Niewiele przesady tkwi w powiedzeniu, że projekcje tekstów w głąb maszynowego kontinuum są ich zakrzepłymi rozprężnie sensami. Teksty pod względem logicznym silnie zborne przedstawiają się jako mocno ściśnięte wiązki i pęki „krzywych znaczących” (nie tu miejsce dla wyjaśnienia ich związku z dziedziną funkcji rekurencyjnych: mowa o tym w 10. rozdziale II tomu).

Najosobliwiej prezentują się teksty utworów literackich o alegorycznym charakterze: ich „semotwór” centralny otacza zwykle blade „halo”, a po jego obu stronach („biegunach”) widnieją „echowe powtórzenia” sensów, niekiedy przypominających obrazy interferencyjne promieni świetlnych. Jak o tym jeszcze wspomnimy, temu zjawisku zawdzięcza swe powstanie maszynowa krytyka toposemantyczna – wszelkich konstruktów myślowych człowieka, z jego systemami filozoficznymi na czele.

Pierwszym dziełem mimezy bitycznej, jakie zyskało rozgłos światowy, była powieść Pseudodostojewskiego „Dziewczynka” („Diewoczka”). Stworzył ją w fazie relaksacji wielocząłonowy agregat, którego zadaniem było przełożenie dzieł wszystkich pisarzy rosyjskiego na angielski. Wybitny rusycysta John Raleigh opisuje w swych wspomnieniach szok, jaki przeżył, otrzymawszy maszynopis rosyjski utworu podpisany dziwacznym (jak sądził) pseudonimem HXOS. Wrażenie, jakie wywarła lektura na tym znawcy Dostojewskiego, musiało być istotnie niesamowite w natężeniu, jeśli, jak wyznaje, zwątpił w to, czy się znajduje na jawie! Autorstwo dzieła było dlań pewnikiem, choć wiedział zarazem, że Dostojewski nie napisał takiej powieści.

Wbrew temu, co rozpowszechniała na ów temat prasa, agregat translacyjny, przyswoiwszy sobie wszystkie teksty Dostojewskiego wraz z jego „Dziennikiem pisarza” i literaturą pomocniczą, nie

skonstruował bynajmniej „widma”, „modelu” czy też „maszynowej reinkarnacji” – osobowości realnego twórcy.

Teoria mimezy jest bardzo zawiła, lecz jej zasadę – a zarazem okoliczności, które umożliwiły ów fenomenalny popis mimetycznej wirtuozerii, da się prosto wyłożyć. Osobą ani osobowością Dostojewskiego maszynowy translator nie zajmował się wcale (nie mógłby zresztą tego uczynić). Stosunki układają się tak, że w przestrzeni znaczeń rozbudowuje się dzieło Dostojewskiego w bryłę zgiętą, przypominającą całościowym układem niedomknięty torus, a więc „pierścień pęknięty” (z luką). Tak więc, zadaniem stosunkowo prostym (dla maszyn oczywiście, nie dla człowieka!) było „zamknięcie” owej „luki” – jako „wprawienie brakującego ogniwa”.

Można rzec, iż poprzez dzieła „głównego ciągu” Dostojewskiego przechodzi gradient semantyczny, którego **przedłużeniem**, a zarazem zamknięciem w obwód jest „Diewoczka”. Te właśnie relacje wzajemne dzieł wielkiego pisarza sprawiają, iż znawcy nie mają najmniejszych wątpliwości co do tego, gdzie, tj. pomiędzy jakimi powieściami, powinna się znaleźć „Diewoczka”. Lejtmotyw, wyraźny już w „Zbrodni i karze”, nasila się w „Biesach” i między tym utworem a „Braćmi Karamazow” „otwiera się luka”. Był to sukces, a zarazem szczęśliwy traf mimezy, ponieważ podejmowane później próby pobudzenia translatorów do analogicznej kreacji względem innych autorów nigdy już tak świetnego rezultatu nie dały.

Mimeza nie ma nic wspólnego z **biograficznie** wykrywalną kolejnością powstawania dzieł danego pisarza. Tak np. Dostojewski pozostawił nieukończone rękopisy powieści „Imperator”, lecz „domyślić się jej”, „wpaść na jej trop” maszyny nigdy by nie mogły, ponieważ usiłował tą powieścią wykroczyć poza własne możliwości. Co się „Dziewczynki” tyczy, istnieją już, poza wersją



pierwotną, autorstwa HYXOSA, warianty odmienne, sporządzone przez inne agregaty, lecz znawcy uważają je za mniej udane; różnice kompozycji okazały się naturalnie znaczne, lecz tożsama jest w tych wszystkich apokryfach – do rozdzierającej kulminacji doprowadzona problematyka, właściwa Dostojewskiemu – świętości zmagającej się z cielesnym grzechem.

Każdy, kto czytał „Dziewczynkę”, zdaje sobie sprawę z powodów, jakie uniemożliwiły Dostojewskiemu jej napisanie. Oczywiście, mówiąc to wszystko, wygłaszamy – podług miar humanistyki tradycyjnej – istne bluźnierstwa, skoro naśladownictwo maszynowe zrównujemy z kreacją autentyczną – lecz bitystyka **jest** nieuchronnym wykroczeniem poza kanon klasycznych ocen i wartości, w którym autentyczność tekstu ma pozycję naczelną, a to, ponieważ potrafimy **udowodnić**, iż „Diewoczka” stanowi utwór Dostojewskiego w „wyższym stopniu” aniżeli własny jego tekst – „Imperatora”!

Ogólna prawidłowość mimezy taką ma postać: jeśli dany autor do cna wyeksploatował centralną dlań konfigurację sensów kreacyjnych („obsesję życiową”), czyli – w nomenklaturze bitystów – „przestrzeń swych semotworów” – niczego, oprócz tekstów wtórnych („schyłkowych”, „echowych”) mimeza już w osi tej nie dostarczy. Jeśli natomiast czegoś „nie dopowiedział” (np. z przyczyn biologicznych, bo zmarł przedwcześnie, bądź socjalnych, gdyż się na to nie powążył) – mimeza zdoła wytworzyć „brakujące ogniwa”. Co prawda o sukcesie finalnym decyduje ponadto topologia semotworów danego pisarza; w tym względzie rozróżniamy *semotwory zbieżne i rozbieżne*.

Zwykłe studium krytyczne tekstów nie daje mocnych podstaw do orzekania, jakie będą w danym wypadku szanse mimezy. Tak np. literaturoznawcy liczyli na mimetyczną kontynuację pisarstwa

Kafki, lecz nadzieje te zawiodły; nie uzyskaliśmy nic poza końcowymi rozdziałami „Zamku”. Dla bitystów jest zresztą *casus* Kafki szczególnie cenny poznawczo, ponieważ analiza jego semotworu wykazuje, że już „Zamkiem” docierał do granicznych szans kreacji: dalsze postępowanie, przeprowadzone trzykrotnie w Berkeley, wykawiło, jak maszynowe apokryfy „toną” w zapadających się wielopowłokowo „echowych odbiciach sensów”, co stanowi obiektywny wyraz skrajnej pozycji tego pisarstwa. Rzecz w tym, że to, co czytelnicy uznają odruchowo za „kompozycyjną trafność”, jest skutkiem równowagi zwanej semostazą; jeśli alegoryczność zbyt przeważa, tekst zmierza ku nieczytelności. Fizyczny odpowiednik tej sytuacji to przestrzeń tak sklepiąca, że odbywający się w niej głos ulega zniekształceniu do zdławienia – w ulewie zewsząd idących odbić echowych.

Nazwane ograniczenia mimezy są bez wątpienia pomyślnie dla kultury. Wydanie „Dziewczynki” spowodowało wszak panikę nie tylko w artystycznych środowiskach. Nie zabrakło Kasander przewidujących „zmiażdżenie kultury mimezą” – bo głoszących „inwazję maszyn” w centrum ludzkich wartości, bardziej niszczącą i niesamowitą od wszelkich zmyślonych „inwazji z Kosmosu”.

Ludzie ci obawiali się powstania przemysłu „usług kreacyjnych”, co obróciłoby kulturę w koszmarny raj, skoro byle konsument, z byle zachcianki, otrzymywałby, błyskawicznie stworzone, arcydzieła maszynowych „succubów” czy „incubów”, wypoczwarzonych nieomylnie w duchy Szekspira, Leonarda, Dostojewskiego... przez co zapadłyby się nam hierarchie wartości, boż przyszyłoby brodzić w arcydziełach jak w śmieciu. Szczęśliwie możemy włożyć między bajki tę apokalipsę.

Uprzemysłowiona mimeza doprowadziła do bezrobocia – lecz wyłącznie w środowiskach producentów literatury trywialnej (SF,

porno, sensacja itp.): tam istotnie wyrugowała ludzi z podaży umysłowych dóbr; zjawisko to nie powinno jednak skłaniać prawego humanisty do nazbyt intensywnej rozpacz.

C. *Krytyka filozofii systemowej* (czyli zofokryza) uznawana jest za strefę przejściową pomiędzy obszarami bitystyki, co noszą nazwy „cis-humana” oraz „trans-humana”. Krytyka ta, polegająca w zasadzie na logicznej rekonstrukcji pism wielkich filozofów, wywodzi się, jakśmy wspomnieli, z procedur mimetycznych. Zyskała ona sobie dość wulgarny, wypada zauważyć, wyraz – dzięki użytkowi, jaki uczynili z niej pewni łakomi zysków producenci. Dopóki ontologie Arystotelesów, Hegłów, Akwinatów można było podziwiać tylko w British Museum, jako połyskujące „kokonybryły”, wtopione światliście w odłamy ciemnego szkliwa, dopóty trudno się było w tym widowisku dopatrzeć szkody.

Obecnie jednak, kiedy „Summę teologiczną” bądź „Krytykę czystego rozumu” nabyć można jako przycisk do papierów dowolnej wielkości i barwy, zabawa ta nabrała, przyznajmy, gorszącego posmaku. Wypada czekać cierpliwie, aż moda ta przejdzie, podobnie jak tysiące innych. Oczywiście nabywcy „Kanta zakrzepłego w bursztynie” mało się troszczą się o rewelacje, jakich dostarczyła nam w filozofii bityczna apokryza. Wyników tu nie streścimy, odsyłając czytelnika do trzeciego tomu monografii; niechaj wystarczy uwaga, że semoskopia to zaiste nowy zmysł oglądu wielkich intelektualnych całości – zmysł, jakim niespodziewanie obdarzył nas duch z maszyny.

A nie jest też do zlekceważenia i to, że zapewnienia największych uczonych o roli gwiazdy przewodniej, jaką odgrywała w ich odkrywczym wysiłku czysta estetyczność matematycznego konstrukt, zapewnienia, którym musieliśmy dotąd ślepo dawać wiarę, potrafimy obecnie sprawdzić naocznie, biorąc – w rękę, dla

przybliżenia oczom, ich myśl zakrzepłą. Oczywiście z tego, że dziesięć tomów wyższej algebry czy wielowiekową wojnę nominalizmu z uniwersalizmem można wkrystalizować w szkliwo rozmiaru pięści, nic nie wynika samoczynnie dla dalszego rozwoju myśli. Kreacja bityczna jest tyleż ułatwieniem, co utrudnieniem – ludzkiej.

Jedno można natomiast orzec z pewnością zupełną. Do powstania inteligencji maszynowej nigdy żaden myśliciel, żaden twórca nie miał jeszcze tak pilnych, tak niezawodnie uważnych – i tak bezwzględnych czytelników! Toteż w okrzyku, jaki wyrwał się pewnemu świetnemu myślicielowi, gdy mu przedłożono krytykę – MENTORA V – jego dzieła: „Ten mnie czytał!” – wyładowała się frustracja, typowa dla naszych dni, w których błaga i po łebkach nabyta erudycja zastępuje rzetelną wiedzę. Myśl nawiedzająca mnie przy pisaniu tych słów – że to nie ludzie będą ich najsumienniejszymi czytelnikami – prawdziwie pełna jest gorzkiej ironii.

D. Termin *apostaza*, przydany ostatniej dziedzinie bitycznej, wydaje się szczęśliwy. Nigdy bowiem odstępstwo od tego, co ludzkie, nie poszło tak daleko, nie wcieliło się w bieg rozumowań z takim spokojnym zapamiętaniem; dla literatury tej, co oprócz języka nic od nas nie wzięła, ludzkość zdaje się nie istnieć.

Bibliografia trans-humanów przewyższa wszystkie pozostałe, wymienione już domeny bitystyki. Krzyżują się tu szlaki, niejawnie wytyczone w dziedzinach poprzednich. Dzielimy apostazę praktycznie na dwa piętra, dolne i górne. Dostępność dolnego na ogół jest nieźle zachowana; górne przed nami zatrzęsnięto. Toteż czwarty nasz tom oprowadza po państwie dolnym – niemal wyłącznie. Tom ów jest skąpym wyciągiem ogromnego piśmiennictwa; stąd trudne położenie przedmówcy, który to, co we

właściwej treści już skrótowne, sam powinien jeszcze zwięźle zapowiedzieć. Zapowiedź taka wydaje się jednak konieczna, jako ogłód z wysokości; inaczej czytelnik, pozbawiony szerszej perspektywy, łatwo zagubi się w trudnym terenie, jak wędrowiec w górach, których największych szczytów nie można ocenić należycie z bliska. Mając na uwadze takie wskazania i wątpliwości, z poszczególnych odłamów apostazy wyjmę po jednym tylko bitycznym tekście, nie tyle, by go wyinterpretować, ile, by nastroić czytelnika na właściwy ton, to jest, chcę powiedzieć – na metodę apostazy.

Ograniczymy się zatem do prób, branych z takich oto prowincji dolnego państwa: *antymatyki*, *terafizyki* i *ontomachii*.

Wprowadzeniem do nich jest tak zwany *paradoks Cogito*. Pierwszy wpadł na jego trop angielski matematyk zeszłowieczny Allan Turing, który uznał, że maszyny, zachowujące się jak człowiek, niepodobna odróżnić od człowieka pod względem psychicznym, czyli że maszynie, zdolnej z człowiekiem rozmawiać, trzeba będzie z konieczności przypisać świadomość. Uważamy, iż inni ludzie mają świadomość tylko dlatego, ponieważ sami jej doświadczają. Gdybyśmy jej nie przeżywali, nie umielibyśmy sobie niczego pod tym pojęciem przedstawić.

W toku ewolucji maszyn okazało się jednak, że bezmyślna inteligencja może być skonstruowana: dysponuje nią np. zwykły program gry w szachy, który, jak wiadomo, „nic nie rozumie”, któremu „jest wszystko jedno”, czy partię przegra, czy wygra, który, jednym słowem, bezświadomie, ale logicznie bije swych przeciwników – ludzi. Co więcej, wykazało się, że prymitywny i na pewno „bezduszny” komputer, zaprogramowany dla prowadzenia psychoterapii i zadający pacjentowi odpowiednie pytania intymnej natury, aby w oparciu o uzyskane odpowiedzi postawić diagnozę i

podać sposoby leczenia, sprawia na interlokutorach-ludziach przejmujące wrażenie, jakoby jednak był czującą i żywą osobą. Wrażenie to jest tak intensywne, że ulega mu nieraz nawet ten, kto sam ów program układał, a zatem fachowiec, pojmujący doskonale, że urządzenie owo tyleż posiada duszy, ile gramofon. Programista może jednak zapanować nad sytuacją, to jest wytrącić siebie z narastającej złudy kontaktów z osobowością świadomą, a to stawiając maszynie takie pytania lub udzielając jej takich odpowiedzi, z jakimi ona – ze względu na ograniczenia programu – nic nie pocznie.

Lecz tym sposobem wstąpiła cybernetyka na drogę stopniowego poszerzania i doskonalenia programów: przez co z upływem czasu coraz trudniejszym zadaniem stawało się „zdarcie maski” – to jest, wykrycie bezmyślności procedur, gadających z maszyny, i właśnie tym sposobem zniewalającej człowieka do odruchu projekcji (która zachodzi bezwiednie, podług założenia, jakie mamy przez nawyk wdrożone, iż jeśli ktoś sensownie nawiązuje do naszych słów i sam nas z sensem zagaduje, to ów ktoś **musi być obdarzony świadomym rozumem**).

Otóż paradoks Cogito objawił się nam w bitystyce ironicznym i zarazem zaskakującym sposobem: jako **zwątpienie** maszyn w to, czy ludzie naprawdę myślą!

Sytuacja zyskała z nagłą doskonałą symetrię dwustronną. My nie możemy zdobyć całkowitej pewności (jako dowodu) na to, że maszyna myśli – i myśląc, swoje stany jako psychiczne przeżywa, gdyż zawsze można wszak mniemać, iż chodzi tylko o symulację, doskonałą zewnętrze, której korelatem wewnętrznym jest jakowaś pustka zupełnej „bezduśności”.

Z kolei maszyny analogicznie nie są w stanie przeprowadzić dowodu na to, iż my, jako ich partnerzy, **myślimy** świadomie – jak

one. Żadna ze stron nie wie, jakie stany doznaniowe druga strona podkłada pod hasło „świadomość”.

Należy zauważyć, iż paradoks ten ma charakter otchłani, jakkolwiek może się zrazu wydać tylko zabawny. Sama jakość myślowych rezultatów niczego tu nie przesądza; już elementarne automaty zeszłego wieku pokonywały w logicznych grach swoich własnych konstruktorów, a były to maszyny niezwykle prymitywne; tak więc wiemy z całkowitą pewnością, że do tego, co jest skutkiem twórczego myślenia, można dotrzeć również inną – bezmyślną – drogą. Traktaty dwóch bitycznych autorów – NOONA i LUMENTORA – w kwestiach paradoksu Cogito otwierają czwarty tom naszej monografii, ukazując, jak głęboko jest ta zagadka wkorzeniona w naturę świata.

Z antymatyki, która jest „na antynomiach stojącą”, a więc „koszmarną matematyką” – wyjmiemy tylko jedno, dla każdego specjalisty straszliwe, druzgocące wręcz orzeczenie o posmaku zupełnego szaleństwa: „pojęcie liczby naturalnej jest sprzeczne wewnątrznie”. Znaczący to, iż żadna liczba sobie samej nie jest zawsze równa! Podług antymatyków (są to maszyny oczywiście) aksjomatyka Peana jest błędna, nie że wewnątrznie sprzeczna sama w sobie, lecz że się dla świata, w jakim istniejemy, nie nadaje bezbłędnie. Antymatyka postuluje bowiem wspólnie z następnym działem apostazy bitycznej – terafizyką (więc „fizyką potworną”) – nieusuwalny zrost myśli i świata. Atak autorów, takich jak ALGERAN i STYX, koncentruje się na zerze. Podług nich arytmetyka bezzerowa daje się w **naszym** świecie skonstruować w sposób niesprzeczny. Zero jest liczbą kardynalną wszystkich zbiorów pustych; lecz pojęcie „pustego zbioru” ma być podług tych autorów **zawsze** uwięzione w antynomii kłamcy. „Nic takiego, jak «nic» nie istnieje” – tym mottem z pracy STYXA przyjdzie nam zamknąć

zapowiedź herezji antymatycznej – gdyż inaczej przyszłoby tu utonąć w wywodach.

Za najdziwaczniejszy i kto wie, czy nie za najwięcej obiecujący poznaniu owoc *terafizyki* uchodzi tak zwana hipoteza *Poliversum*. Podług niej Kosmos jest dwudzielny, a my, wraz z materią słońc, gwiazd, planet, ciał naszych, zamieszkujemy jego połówkę „powolną”, czyli *bradyversum*. Powolną dlatego, ponieważ możliwy jest tutaj ruch z szybkościami od spoczynkowej aż po lokalnie najwyższą – świetlną. Do drugiej, „szybkiej” połowy Kosmosu, *tachyversum*, prowadzi droga przez barierę świetlną. Aby dostać się do tachywersum, trzeba przekroczyć szybkość światła: ona jest wszechobecną w naszym świecie granicą oddzielającą każde miejsce od „drugiego regionu istnienia”.

Kilkadziesiąt lat temu wysunęli fizycy hipotezę tachjonów – cząstek, które poruszają się tylko z nadświatłymi chyżościami. Nie udało się ich znaleźć, jakkolwiek one właśnie tworzą – podług terafizyki – tachywersum. A właściwie tachyversum utworzone jest przez **jedną** taką cząstkę.

Tachjon, spowolniony do chyżości światła, zyskałby energię nieskończenie wielką; rozpędzając się zaś, energię traci, wydzielając ją pod postacią promieniowania; gdy szybkość jego staje się nieskończenie wielką, energia spada do zera. Otóż tachjon, poruszający się z nieskończoną chyżością, przebywa, rzecz zrozumiała, **wszędzie** naraz: on jeden, jako cząstka wszechobecna, tworzy właśnie tachywersum! A mówiąc dokładniej – im większą ma szybkość, tym bardziej wszechobecny się staje. Świat utworzony z tak osobliwej wszechobecności wypełnia ponadto i promieniowanie, które tachjon bezustannie wysyła, przyspieszając (bo on właśnie w akceleracji traci energię). Świat ten jest odwrotnością naszego: tutaj jest światło najszybszym, a tam, w



tachywersum – najpowolniejszym ruchem. Stając się wszechobecny, tachjon obraca tachywersum w ciało coraz bardziej „lite” i sztywne; aż wreszcie jest on już tak „wszędzie”, że napiera na kwanty świetlne i wtłacza je w siebie z powrotem; wskutek tego ulega hamowaniu i zwalnia swój pęd; im wolniej się porusza, tym większą zdobywa energię; wyhamowany przyzerowo tachjon – zbliżając się stanem do nieskończenia wielkiej energii – eksploduje, stwarzając bradywersum...

Tak więc, gdy patrzeć z **naszego** wszechświata, eksplozja owa **kiedyś** nastąpiła i stworzyła pierwszej gwiazdy, a potem i nas; lecz, gdyby z tachywersum patrzeć, nie nastąpiło to **wcale**, ponieważ nie istnieje żaden czas nadrzędny, w którym można by liczyć zajścia obu Kosmosów.

Ich matematyki „naturalne” są prawie – odwrotnościami; w naszym, powolnym świecie  $1+1$  prawie równa się  $2[1+1\cong 2]$ ; dopiero u samej granicy – gdy dochodzi się szybkości światła –  $1+1$  staje się równe 1. Natomiast w tachywersum 1 **prawie** równa się nieskończoności  $[1\cong \infty]$ . Lecz sprawa ta – przyznają sami „potworni doktorzy” – o tyle jest jeszcze niejasna, że logika określonego uniwersum (czy – poliwersum!) jest pojęciem sensownym tylko, jeśli możliwe jest jej – w świecie tym – uprawianie, lecz nie wiadomo na razie, jakie są szanse powstania układów rozumnych (albo wręcz życia) – w tachywersum. Matematyka zgodnie z tym sądem ma granice dane nieprzekraczalnymi barierami istnienia materialnego, ponieważ mówić o **naszej** matematyce w świecie o innych prawach niż prawa naszego świata, to mówić nonsensy.

Co się tyczy wreszcie ostatniej pozycji odstępstwa bitycznego – „Paszkwila na Wszechświat” – wyznaję, iż nie potrafiłbym jej streścić. A przecież ów sążnisty (wielotomowy) traktat jest pomyślany ledwie jako wstęp do eksperymentalnej kosmogenetyki

– czyli technologii sporządzania światów, „bytowo porządniejszych” od naszego. Bunt przeciwko istnieniu w danych formach trwania, który jest odwrotnością wszelkiego nihilizmu, wszelkiej chęci samounicestwienia, jako płód maszynowego ducha, jako burza projektów „innego bytu”, to najpierw, zapewne, lektura egzotyczna – i gdy pokonać jej trudność, także pod względem estetycznym wstrząsająca. Na pytanie, z czym właściwie się tu stykamy – z fikcją logiki czy z logiką fikcji – z filozofią fantastyczną czy z przemyślanym rzetelnie, najzupełniej rzeczowym wysiłkiem zdruzgotania, unieważnienia tego bytu tutaj jako przypadkowości, jako brzegu, do którego zagnał nas niewiadomy los, od którego zuchwałstwo każe odepchnąć się i ruszyć w niewiadomym kierunku, na pytanie, czy te pisma doprawdy są **nieludzkie** – czy też właśnie odstępstwem swoim **nam** sprzyjają – nie udzielę odpowiedzi, ponieważ jej nie znam.

# Wstęp do drugiego wydania

Trzy lata, jakie upłynęły od ukazania się pierwszej edycji, przyniosły wiele nowych publikacji bitycznych. Kolegium redakcyjne naszej monografii zdecydowało się jednak zachować jej kształt pierwotny, przy uwzględnieniu oddzielnej innowacji, o której mowa niżej. Tak więc cztery podstawowe tomy „Historii literatury bitycznej” nie uległy zmianom w swym składzie zasadniczym i w nadanym całości – podziale treściowym; uzupełnieniu uległa natomiast bibliografia, a też usunięto (nieliczne zresztą) błędy i uzupełniono upustki wydania pierwszego.

Zespół nasz uznał za wskazane wyodrębnić w osobny tom piąty, o suplementowym charakterze, piśmiennictwo z zakresu szeroko pojmowanej metafizyki i religioznawstwa, które łącznie nazywa się literaturą teobityczną. W wydaniu poprzednim dość było skąpych wyciągów i wzmianek o tym kierunku umieszczonych w *Appendixie* tomu czwartego. Przybór owego piśmiennictwa skłonił nas do udzielenia mu osobnej pozycji – a ponieważ Przedmowa do I wydania o nim milczy, korzystamy z okazji, aby zaprezentować zwięźle zawartość dodatkowego piątego tomu, a tym samym – wskazać czytelnikowi węzłowe w teobitystyce zagadnienia.

1. **TEOLOGIA INFORMATYCZNA.** Grupa komputerowa z Brookhaven podjęła na schyłku ubiegłej dekady formalną analizę wszystkich dostępnych, a przez Kościół katolicki uznawanych pism mistyków, w ramach projektu „Mistyka jako kanał łączności”. Założeniem badań były tezy podawane przez ów Kościół do

wierzenia, iż w pewnych szczególnych stanach mistycy mogą się komunikować z Bogiem. Teksty ich autorstwa, notujące takie doświadczenia wewnętrzne, poddano bilansowaniu na informacyjną zawartość. Analiza nie dotyczyła kwestii transcendentalności Boga ani jego charakterystyki immanentnej (jako osoby bądź nieosoby np.), ponieważ pomijała w całości sensy mistycznych pism, czyli ich zawartość semantyczną. Nie mogła tym samym kwestionować jakości wszelkich rewelacji objawionych w mistycznych kontaktach, albowiem rachubą objęto wyłącznie **ilościową** stronę informacji zdobytej przez mistyków. Taka fizykalna rachuba pozwala z matematyczną dokładnością wyznaczyć ilościowy zysk informacyjny z całkowitym wyłączeniem jego treści. Przesłanką projektu był pewnik teorii informacji, że z nawiązania łączności ze źródłem realnym, to jest z utworzenia przesyłowego kanału, musi wynikać wzrost ilości informacji po stronie odbiorców.

Z rozmaitych definicji Boga pochodzi dogmat o jego nieskończoności, który informacyjnie oznacza różnorodność nieskończenie wielką. (Co można łatwo udowodnić formalnie – gdyż wszechwiedza, przypisywana Bogu, różnorodność taką, mocy kontinuum, implikuje analitycznie). Otóż człowiek kontaktujący się z Bogiem nie może osiąść informacji aż nieskończonej, bo sam jest skończony; powinien jednak wykazać choć niewielki przyrost informacyjny, granicznie wyznaczony chłonnością jego umysłu. Jednakowoż w bilansie liczbowym okazały się pisma mistyków znacznie uboższe od wypowiedzi takich ludzi, którzy kontaktują się z realnymi źródłami informacji (na przykład – uczonych przeprowadzających doświadczenia przyrodnicze).

Ilość informacji w pismach mistyków równa się dokładnie ilości informacji w wypowiedziach (pismach) takich ludzi, którzy skazani są jako na generatory różnorodności – wyłącznie na samych

siebie. Wniosek wyprowadzony z projektu brzmi: „postulowany przez Kościoły kontakt człowieka-mistyka z Bogiem nie zachodzi jako proces, w którym człowiek zyskuje ponadzderową informację”. Może to oznaczać albo że postulowany przez Kościoły kanał łączności jest fikcją, albo że kanał wprawdzie powstaje, lecz Nadawca zachowuje trwałe milczenie. I tylko już pozafizykalne racje mogą skłaniać do wyboru wewnątrz alternatywy „*Silentium Domini*” – „*Non esse Domini*”. Pracę tę wraz z nową kontrargumentacją teologiczną zamieszczamy w pierwszej części tomu suplementowego.

2. TEOLOGIA MATEMATYCZNA. Najosobliwszym płodem tej teobitystyki jest model Boga sinusoidalny i tym samym oscylacyjny. Bóg zostaje aksjomatycznie ustanowiony jako **proces** naprzemienny, a nie jako **stan** niezmienny; oscyluje on z transcendentną częstotliwością pomiędzy przeciwstawnymi w znakach nieskończonościami – Dobra i Zła. Dla każdego interwału czasowego (w sensie fizycznym) obie te nieskończoności realizują się pospólnie, jakkolwiek nie jednocześnie. Dobro i Zło Boga przechodzą bowiem w siebie naprzemiennie, przez co obrazem procesu jest właśnie sinusoida.

Ze względu na to, że propagacja obu nieskończoności, mając źródła niedoczesne, uczestniczy w porządku bytowym docześnie, można wykazać, że dopuszczalne, czyli możliwe jest powstawanie lokalnych osobliwości jako wycinków czasoprzestrzeni, w których równowaga Dobra i Zła **nie** ulega zachowaniu. Tym samym powstają w takich punktach osobliwych fluktuacje jako niedobory. A ponieważ procesualna krzywa musi przy każdej kolejnej zmianie znaków przejść przez zero, w Uniwersum, które trwałoby samo przez czas nieskończenie długi, istnieją nie dwie, lecz **trzy** nieskończoności: „Dobra, Zera i Zła” – co, przełożone na konwencjonalny język

teodyktyczny, oznacza współistnienie, dla owego Uniwersum, Boga, jego doskonałego braku oraz jego całkowitego odwrócenia – w Szatanie. Praca ta, zaliczana już to do teologicznych, już to do teoklastycznych, powstała na drodze spekulacji formalnej z przyciągnięciem aparatu matematycznego teorii mnogości oraz fizycznej teorii Wszechświata. Autorem jej jest ONTARES II. W części ścisłej żadnymi terminami, wziętymi z tradycyjnej teologii („Bóg”, „Szatan”, „Nicość metafizyczna”), **nie** operuje. Umieściliśmy ją w III rozdziale suplementu.

Inną godną uwagi pracą teobityczną jest studium agregatów, zwanych pospolicie „zimnymi” (gdyż pracują na kriotronach), proponujące jako Boga – komputer nieskończony lub nieskończony program. Oba te ujęcia prowadzą co prawda do nierozwikłanych antynomii. Jak jednak w posłowniu do pracy zauważył jeden z jej autorów, METAX, każda religia ludzka, gdy formalizowana, ujawnia znacznie większą ilość sprzeczności analogicznego typu – więc, gdyby „najlepsza religia” znaczyło tyle, co „najmniej sprzeczna religia”, to komputer jest doskonalszym obrazem bożym niż człowiek.

3. TEOLOGIA FIZYKALISTYCZNA. Prac METAXA nie zaliczamy do teobitycznego fizykalizmu, ponieważ operują one nazwami „Komputer” czy „Program” w sensie formalnym (matematycznym), a nie fizycznym (jak wiadomo, każdy komputer – tak jak każdy automat – posiada idealny równoważnik matematyczny). Natomiast rozumiana fizykalnie teobityka zajmuje się uwikłaniem Sprawcy lub Stwórcy bytu w materię. Takich prac namnożyło się wiele, toteż wymienimy tu w trybie zapowiedzi jedynie dzieła najoryginalniejsze. Autor pierwszego, UNITARS, rozważa Kosmos jako „granulat”, który się na przemian „komputeryzuje” i „dekomputeryzuje”; jego dwa stany diametralne to Metakomputer i

Metagalaktyka. W fazie „umentalnienia” podstawą oddziaływań jest informatyka; fizyka na jej usługach to sprawia, czego się „komputerowa całość” Uniwersum domaga; lecz substrat tego „kosmicznego myślenia” przybiera wreszcie postać eksplozywną, albowiem materialne podłoże myśli konfiguracjami swymi staje się w narastającym stopniu niestabilne, aż TO, CZYM metakomputer myślał, wybuchła, i nadobłokiem rozprężających się szczątków ognistych zostaje Metagalaktyka; obecność w głębinach fazy „bezdusznej” istot rozumnych wyjaśnia się niejako mimochodem, bo to są relikty, „szczątki”, „odpadki” fazy poprzedniej. „Pomyślawszy to, czego nośnik myślowy jest ylemem, Całość ulega rozszarpaniu w ucieczkę mgławic; powracając i komprymując się, tworzą one granulat odradzającego się Metakomputera z powrotem – i pulsacja «Duch»-«Bezduch» materii organizującej się w myślenie i myślenia, rozpadającego się w materię, może trwać nieograniczenie długo”. Inne warianty tej „Noopulsacyjnej” teorii znajdzie Czytelnik w VI rozdziale suplementu.

Prawdopodobnie do bitycznej humorystyki należy koncepcja, podług której Wszechświat wygląda tak, jak wygląda, ponieważ we wszystkich galaktykach działający astroinżynierowie usiłują „przeczekać ten Kosmos”, a to dzięki rozpędzaniu mas czy wehikułów jakichś do świetlnej szybkości, bo ciało o tej szybkości może w czasie, który w nim samym równa się ledwie miesiącom ziemskim, „przeczekać” miliardolecia (zgodnie z efektem relatywistycznym): więc olbrzymie, kwazarowe, pulsarowe, nebularne erupcje to astroinżynieria, usiłująca „wyskoczyć” z danej fazy uniwersum w następną, czyli to są roboty „lokomocyjno-temporalne”, z intencją „transcendowania” aktualnego Kosmosu, gdyż widocznie faza następna bardziej ma być godna kolonizacji.

Przeglądem takich działań zamyka się nowy, piąty tom „Historii literatury bitycznej”.



# EKSTELOPEDIA VESTRANDA

w 44 magnetomach

WYDANIE DRUGIE ROZSZERZONE  
POD REDAKCJĄ PROF. DR J. RAMBELLAIS

Vestrand Books Co.

New York – London – Melbourne MMXI

# PROFETYNKA

VESTRAND BOOKS są szczęśliwe, gdyż mogą zaoferować Panu (i) Subskrypcję

## **najprzyszlejszej**

Ekstelopedii, jaka się kiedykolwiek ukazała. Jeśli wskutek nawału zajęć nie zdołał dotąd Pan (i) zapoznać się z żadną EKSTELOPEDIĄ, służymy wyjaśnieniem. Tradycyjne encyklopedie znajdujące się w powszechnym użyciu od dwóch stuleci poczęły w latach siedemdziesiątych przeżywać Poważny Kryzys wywołany tym, iż zawarte w nich wiadomości okazywały się przestarzałe już w chwili opuszczenia drukarni. Aucyk, tj. automatyzacja cyklu produkcyjnego, nie mogła temu zapobiec, ponieważ nie da się zredukować do zera czasu niezbędnego ekspertom – autorom Haseł. Tak więc z każdym kolejnym rokiem nasilała się dezaktualizacja najświeższych encyklopedii, które stając na półkach, miały już wartość tylko historyczną. Wielu Wydawców usiłowało zapobiec temu kryzysowi corocznym, a potem i cokuwartalnym publikowaniem Specjalnych Suplementów, lecz wrychle owe Suplementy jeły przewyższać objętością rozmiary Właściwej Edycji. Świadomość, iż tego Wyścigu z Przyspieszeniem Cywilizacji nie da się wygrać, poraziła Edytorów pospołu z Autorami.

Przyszło więc do opracowania Pierwszej Delfiklopedii, czyli takiej Encyklopedii, która była zbiorem Haseł o treści Przepowiadanej na Przyszłość. Lecz DELFIKLOPEDIA powstaje w oparciu o tak zwaną Metodę Delficką, czyli mówiąc pospolicie,

dzięki głosowaniu Uprawnionych Ekspertów. A ponieważ opinie Ekspertów bynajmniej się nie pokrywają, zawierały pierwsze Delfiklopedie Hasła na ten sam Temat, podane w dwu wariantach – zgodnie z opinią Większości i Mniejszości Fachowców, lub miały dwie wersje (Maksiklopedia i Minoklopedia). Odbiorcy przyjęli jednak tę innowację niechętnie, a znany fizyk Nobelista prof. Kutzenger dał tej niechęci wyraz, powiadając, iż publiczność potrzebuje Informacji o Sprawach, a nie o Kłótniach Specjalistów. I dopiero dzięki Inicjatywie VESTRAND BOOKS sytuacja uległa rewolucyjnej poprawie.

EKSTELOPEDIA, jaką niniejszym oferujemy Panu (i) w 44 poręcznych Magnetomach, oprawnych w Virginal, Zawsze Ciepłutki Pseudoskórek Dziewiczy, SAMOWysuwająca się z półki na głośne wezwanie właściwym Magnetomem, który SAMokartkuje się i SAM stopuje na żądanym haśle, zawiera 69 500 przystępnie, lecz ściśle zredagowanych Haseł odnoszących się do Przyszłości. W przeciwieństwie do Delfiklopedii, Maksiklopedii i Minoklopedii

## VESTRANDA EKSTELOPEDIA

stanowi gwarantowany wynik BEZLUDNEJ, więc BEZBŁĘDNEJ pracy osiemnastu tysięcy naszych KOMFUTERÓW (komputerów futurologicznych).

Za Hasłami EKSTELOPEDII VESTRANDA kryje się Kosmos Ośmiuset Gigatrylionów Obliczeń Semo-Numerycznych wykonanych w Komurbii naszego wydawnictwa przez BANAJLUKI – Baterie Najcięższych Lumenicznych Komfuterów. Pracę ich kojarzył nasz SUPERPUTER, elektronowe wcielenie Mitu o Supermanie, które kosztowało nas dwieście osiemnaście milionów, dwadzieścia sześć tysięcy trzysta dolarów, w cenach zeszłego roku. EKSTELOPEDIA to skrót słów EKSTRAPOŁACYJNA TELEONOMICZNA ENCYKLOPEDIA, czyli

CEPRENCYK (Celowanie Prognostyczne Encyklopedii) z Maksymalnym Wypprzedzeniem w Czasie.

## **Czym jest nasza ekstelopedia?**

Jest ona Najpiękniej Donoszonym Dziecięciem Prafuturologii, owej szanownej, aczkolwiek prymitywnej Dyscypliny, którą zrodził schyłek XX wieku. EKSTELOPEDIA przynosi wiadomości o Historii, jaka się dopiero stanie, czyli o BĘDZIEJACH POWSZECHNYCH, o sprawach Kosmonomicznych, Kosmolicyjnych i Kosmatycznych, o WSZYSTKIM, co będzie PORYWANE, łącznie z danymi, w JAKIM CELU i z JAKICH POZYCJI to nastąpi, o Nowych Wielkich Osiągnięciach Nauki i Techniki z wyszczególnieniem, którymi z nich będzie Pan (i) najbardziej zagrożony (a) osobiście, o Ewolucji Wiar i Wyznań, m.in. pod hasłem FUTURELIGIE, jako też o 65 760 innych Kwestiach i Problemach. Miłośnicy Sportu nękanii Niepewnością Wyników we wszystkich konkurencjach zaoszczędzą sobie dzięki EKSTELOPEDII wielu zbędnych irytacji i wzruszeń, także w dyscyplinach lekkoatletycznych i erotletycznych – jeśli tylko podpiszą

## **bardzo korzystny kupon**

załączony do niniejszej Profertynki<sup>3</sup>.

Czy EKSTELOPEDIA VESTRANDA przynosi wiadomości Prawdziwe i Pewne? Jak wynika z badań MIT-u, MAT-u i MUT-u, zjednoczonych w USIB-ie (United States Intellectronical Board), oba poprzednie wydania naszej Ekstelopedii odznaczały się odchyleniem od Stanów Faktycznych w granicach 9,008–8,05% w uśrednieniu na literę. Lecz niniejsze nasze NAJPRZYSZLEJSZE wydanie będzie z prawdopodobieństwem 99,0879% tkwiło w Samym Sercu Przyszłości.

## Dlaczego ono jest tak dokładne?

Czemu może Pan (i) tak całkowicie polegać na niniejszej edycji? Ponieważ wydanie to powstało dzięki pierwszemu na świecie zastosowaniu dwóch zupełnie Nowych Metod Sondażu Przyszłości – a mianowicie Metody SUPLEKSOWEJ i KRETYLANGOWEJ.

METODA SUPLEKSOWA, czyli Superkompleksowa, wywodzi się z procedury, dzięki której Program Komputerowy Mac Flac Hac pobił w 1983 roku

## WSZYSTKICH WIELKICH MISTRZÓW ŚWIATOWYCH SZACHÓW

naraz, m.in. i Bobby'ego Fishera, dając im podczas Symultanki 18 matów na gram, kalorię, centymetr i sekundę. Program ten uległ następnie tysiąckrotnemu spotęgowaniu i adaptacji Ekstrapolacyjnej, dzięki czemu umie on nie tylko PRZEWIDZIEĆ, CO SIĘ ZDARZY, jeśli zdarzy się COKOLWIEK, lecz ponadto jeszcze przewiduje ściśle, co się zdarzy, jeśli Tamto nie zdarzy się ani trochę, tj. wcale nie zajdzie.

DOTYCHCZAS Predyktory pracowały tylko na POZYPOTACH (czyli w oparciu o POZYTYWNE POTENCJE, tj. uwzględniając Możliwość Ziszczenia się Czegośkolwiek). Nasz Nowy SUPLEKSOWY Program pracuje PONADTO na NEGAPOTACH (Negatywnych Potencjach). Uwzględnia on tedy TO, CO ZGODNIE z aktualnymi opiniami WSZYSTKICH EKSPERTÓW NA PEWNO NIE MOŻE ZAJŚĆ. A – jak wiadomo skądinąd – **solą** Przyszłości jest to właśnie, o czym Eksperci mniemają, iż NIE ZAJDZIE.

## WŁAŚNIE OD TEGO ZALEŻY PRZYSZŁOŚĆ!!

Aby jednak poddać wynik uzyskany Metodą Supleksową, kontrolnemu ufiksowaniu (Krucyfiks, resp. CRUCIFIX),

zastosowaliśmy, nie zważając na Wielkie Koszty, inną, też CAŁKOWICIE nową metodę – Ekstrapolacji FUTULINGWISTYCZNEJ.

Dwadzieścia sześć naszych KOFULINTÓW (Komputerów Lingwistycznych spolegliwie sprzężonych, czyli spółężnych) utworzyło, w oparciu o analizy rozwojowych tendencji, tj. trendów z gradientem indeterministycznym (Trendenderentów) DWA TYSIĄCE gwar, dialektów, nazewnictw, slangów, nomenklatur oraz gramatyk przyszłości.

Co oznaczał ów Wyczyn? Oznaczał on utworzenie JĘZYKOWEJ BAZY ŚWIATA PO ROKU DWA TYSIĄCE DWUDZIESTYM. Mówiąc po prostu – nasza KOMURBIA – czyli nasze Miasto Komputerowe, liczące sobie 1720 Jednostek Inteligencji na milimetr sześcienny MAPSYNTU (Masy Psychiczno-Syntetycznej), skonstruowało słowa, zdania, składnię i gramatykę (oraz znaczenie) Języków, jakimi ludzkość będzie się posługiwała w PRZYSZŁOŚCI.

Oczywiście – znać SAM TYLKO JĘZYK, jakim ludzie będą się porozumiewali ze sobą i z maszynami za 10, 20 bądź za 30 lat – to nie znaczy jeszcze wiedzieć, O CZYM ONI BĘDĄ WTEDY najchętniej i najczęściej mówili. A właśnie to trzeba wiedzieć, albowiem zazwyczaj PIERWEJ się mówi, a POTEM się myśli i działa. Podstawowe niedociągnięcia wszystkich dotychczasowych prób zbudowania FUTUROLOGII ODJĘZYKOWEJ, czyli PROGNOLOGII, wynikały z FAŁSZYWEJ RACJONALNOŚCI procedur. Uczeń zakładał bowiem milcząco, iż ludzie będą mówili w Przyszłości SAME ROZSĄDNE RZECZY i że podług tego będą postępowali.

Tymczasem badania wykazały, iż ludzie mówią PRZEWAŻNIE GŁUPSTWA. Aby więc symulować w ponadczwierćwiekowej Ekstrapolacji

**typowo ludzki sposób wyśłowienia**

zostały przez nas skonstruowane IDIOMATY oraz KOMDEBILE (KOMFUSZERY), to jest Idiomatyczne Automaty oraz fuszerujące Komputery – Debile, i one to dopiero utworzyły PARAGENAGRATYKĘ, tj. paralogiczną generatywną gramatykę Języka Przyszłości.

Kontrolne Profutery, Langlingi oraz Pramnestoschizoplegiatory ułożyły dzięki temu 118 Podjęzyków (gwar, dialektów, slangów), takich jak PLOTEX, WYPLATEX, GADAN, BEŁKIT, ZABZDUR, PLEPLEX, AGRAM i CRETINAX. Na ich bazie powstała w końcu KRETYLANGISTYKA, która pozwoliła zrealizować program KRUCYFIKS. W szczególności umożliwiło to wykonanie Prognoz Intymnych dotyczących Futerotyki (m. in. szczegółów pożycia ludzi z artorgami i amorgami, także na lubieżniach i dewialniach w zakresie bezgrawitacyjnej seksonautyki orbitalnej, wenerycznej i marsjańskiej). Udało się to dzięki językom programowania, takim jak EROTIGLOM, PANTUSEX i BYWAY.

Ale na tym jeszcze nie koniec! Nasze KONTRFUTERY, czyli TERY Kontrolno-futurologiczne, nałożyły na siebie rezultaty metod KRETYLANGOWEJ i SUPLEKSOWEJ – i dopiero ze szczytania trzystu Gigabitów Informacji powstał KOREK, tj. Kompleksowy Korektor EMBRIONA Ekstelopedii.

Dlaczego EMBRIONA? Dlatego, ponieważ tak powstała WERSJA Ekstelopedii całkowicie NIEZROZUMIAŁA dla wszystkich żyjących – z laureatami Nobla włącznie.

Dlaczego NIEZROZUMIAŁA? Dlatego, ponieważ były to TEKSTY wyartykułowane w języku, jakim NIKT JESZCZE DZISIAJ NIE MÓWI, jakiego tedy NIKT JESZCZE NIE JEST W STANIE POJAĆ. I dopiero dziełem osiemdziesięciu naszych RETROLINTERÓW było na powrót przełożyć – na znany nam współczesny język – rewelacyjne dane wysłowione oryginalnie mową, która dopiero nadejdzie.

## **Jak należy się posługiwać Ekstelopedią Vestranda?**

Umieszcza się ją na Wygodnym Stelażu, jakiego dostarczamy za niewielką opłatą dodatkową. Następnie, ustawwszy się w odległości nie mniejszej od dwóch kroków od półek, należy wypowiedzieć żądane hasło tonem rzeczowym niezbyt donośnie. Wówczas właściwy Magnetom, samorozkartkowawszy się, wskoczy Panu (i) samoistnie w wyciągniętą prawą rękę. PT. Mańkutów upraszamy o wytrenowanie się uprzednie w wyciąganiu ZAWSZE prawej ręki, albowiem w przeciwnym razie Magnetom może ulec odchyleniu w swej trajektorii i ugodzić, jakkolwiek NIEBOLEŚNIE, mówiącego bądź też Osoby Postronne.

Hasła są wydrukowane dwubarwnie. Hasła CZARNE oznaczają, iż PRAPROWIRT (prawdopodobnościowy procent wirtualizacji) przekracza 99,9%, czyli mówiąc popularnie, jest Murowany.

Hasła CZERWONE oznaczają, że ich Praprowirt znajduje się poniżej 86,5% i ze względu na ów niepożądany stan rzeczy CAŁY TEKST każdego z takich haseł trwa w NIEUSTAJĄCEJ ŁĄCZNOŚCI ZDALNEJ (holognetycznej) z Naczelną Redakcją Ekstelopedii VESTRANDA. Gdy tylko nasze Profutery, Pantery i Kredaktery uzyskają NOWY POPRAWNY WYNIK swej nieustającej pracy Śledzącej Przyszłość – tekst HASŁA wydrukowanego CZERWIENIĄ ulegnie SAMOCZYNNIE właściwej korelacji (readaptacji). Za zachodzące w ten sposób ZDALNY, NIEWYCZUWALNY i OPTYMALNY zmiany na lepsze – Wydawnictwo VESTRANDA

### **nie domaga się**

ŻADNYCH dodatkowych opłat od PT. Subskrybentów!

W wypadku skrajnym, który opatrzony jest Praprowirtem Niższym od 0,9%, SKOKOWEJ zmianie ulec może także TEKST



NINIEJSZEGO PROSPEKTU. Jeśli podczas lektury tych zdań ich słowa poczną Panu (i) skakać w oczach, a litery drgać i mżyć – należy przerwać lekturę na 10–20 sekund, a to, by przetrzeć okulary, sprawdzić stan garderoby lub tym podobne, a potem podjąć czytanie OD NOWA, tj. od początku, a NIE TYLKO od miejsca, w którym czytanie przerwano, gdyż takie MIENIENIE się oznaczać będzie aktualizującą się właśnie korekcję NIEDOCIĄGNIĘĆ.

Jeżeli jednak pocnie się mienić (drgać, względnie rozmazywać) TYLKO podana niżej CENA Ekstelopedii Vestranda, w takim wypadku Całego Prospektu od nowa czytać Nie Należy, albowiem zmiana będzie dotyczyła wyłącznie

## **warunków subskrypcji**

których – ze względu na dobrze znany Panu (i) stan ekonomiki światowej – prognozować z wyprzedzeniem wyższym od 24-minutowego, niestety, nie można.

Powiedziane odnosi się również do pełnego zestawu materiałów ilustracyjnych i pomocniczych – EKSTELOPEDII VESTRANDA. Obejmują one Ilustracje Sterowane, Ruchliwe, Namacalne oraz Smaczne. Nadto należą tu futudele i samobudy (agregaty samobudujące się), jakich dostarczamy ze stelażem oraz z pełnym kompletem Magnetomów – w osobnej estetycznej walizie-Pojemniku. Na żądanie programujemy całość konteneryzowaną Ekstelopedii tak, iż będzie reagować Wyłącznie na Głos Pana (Właściciela, -lki).

W wypadku afazji, chrypki itp. upraszamy o łaskawe zwrócenie się do najbliższego Przedstawicielstwa VESTRANDS BOOKS, które pospieszy Panu (i) z niezwłoczną pomocą. Wydawnictwo nasze opracowuje aktualnie nowe, luksusowe Warianty Ekstelopedii, a to: Samoczytający się na trzy głosy i dwa rejestry (męski, żeński, nijaki; pieściwy – oschły); model Ultra-Deluxe zabezpieczający z

Gwarancją przed Zakłóceniami Odbioru przez Postronnych (np. przez Konkurencję), Wyposażony w Barek i w Bujak, a wreszcie model UNIVERMIG przeznaczony dla obcokrajowców, a przekazujący treść haseł Na Migi. Cena tych Modeli Specjalnych będzie prawdopodobnie wyższa od 40 do 190% ceny wydania standardowego.

VESTRANDA  
EKSTELOPEDIA

Arkusz próbny

gratis!

Vestrand Books NY–London–Melbourne

**PROFERTYZA** oferta handlowa lub usługowa, oparta na prognozowanym stanie rynku. Rozróżnia się P. cywilne (PROFERTYNKI) i militarne (PROMILTYNKI). 1. PROFERTYNKI dzielą się na peryfertynki, z wyprzedzeniem w czasie o dekadę, i na apofertynki, z wyprzedzeniem do bariery Gläulera (ob. GLÄULERA BARIERA, także PRERIERA oraz PRODOKSY). Ingerencja konkurencji, czyli INGURENCJA (ob.) zachodząca najczęściej poprzez włączanie się nielegalne do publicznej sieci promputerowej (ob. PROMPUTEROWA SIEĆ) obraca profertynki w PERWERTYNKI (ob.) lub w PARAZYTYNKI (ob.), to jest w prognozy samorujnujące się. (Obacz też: BANKRUKUCJA INGURENCYJNA, PROGNOLOGIZACJA, PROGNOLOGIZACJA, PROGNOZ EKRANOWANIE oraz KONTRPREDYKCJA). 2. PROMILTYNKI opierają się na przepowiadaniu ewolucji środków bojowych (hardwarware) i myśli wojennej (softwarware). W przepowiadaniu P. używa się algebry struktur konfliktu, czyli ALGOSTRATYKI (ob.). P. tajne, czyli KRYPTYNKI, należy odróżniać od prognoz tajnych środków bojowych, czyli KRYPTOMACHICZNYCH (ob.). Tajne prognozy tajnych broni obejmuje KRYPTOKRYPTYKA (ob.).

**PROFESOR** inaczej KOMDYH (Komputer dydaktyczny habilitowany) – także CYFERNIAK (ob.), układ nauczający, dopuszczony na wyższe uczelnie przez USIB (United States Intellectronical Board, ob.). Obacz też: PREPANC (PRECEPTOR PANCERZONY, odporny na działalność kontestacyjną nauczanych) oraz ANTYKONTESTACYJNE TECHNIKI I ŚRODKI BOJOWE.

Profesor oznaczał dawniej człowieka wykonującego analogiczne funkcje.

**PROFUZJA** fuzja prognozowana, broń myśliwska przyszłości. Ob.: MYŚLISTWO I ŁOWIECTWO, także: SYNTEMACHIE.

**PROGNODOKSY** albo Prodoksy: paradoksy prognozowania. Do najważniejszych P. należą: P.A. Rümmelehahna, P.M. de la

Faillance'a oraz P. metalangowy GOLEMA (ob. GOLEM). 1. Paradoks Rümmelehahna związany jest z problemem przebijania bariery predykcyjnej. Jak udowodnił T. Gläuler i niezależnie od niego U. Bóść, przepowiadanie przyszłości utyka w barierze sekularnej (zwanej serierą 1. prerierą). Poza barierą ufność prognoz zdobywa wartość ujemną, co oznacza, iż cokolwiek zajdzie, na pewno inaczej niż podług prognozy zajdzie. Rümmelehahn zastosował eksformatykę chronokurrencyjną dla obejścia nazwanej bariery. E. chronokur. opiera się na istnieniu IZOTEM (Ob. IZOTEMA). IZOTEMA jest linią przechodzącą w PRZESTRZENI SEMANTYCZNEJ (ob.) przez wszystkie tematycznie tożsame publikacje, podobnie jak w fizyce izoterma jest linią przechodzącą przez punkty równociepne, a w kosmologii izopsycha jest linią przechodzącą przez wszystkie cywilizacje danego stopnia rozwoju w przestrzeni Wszechświata. Znając dotychczasowy przebieg IZOTEMY, można z niego ekstrapolować w przestrzeni semantycznej bez żadnych ograniczeń. Rümmelehahn, zastosowawszy metodę, którą nazwał sam „metodą drabiny Jakubowej”, wykrył wszystkie dzieła o tematyce prognostycznej wzdłuż takiej właśnie izotemy. Czynił to krokowo, przepowiadając zrazu treść kolejnego w przyszłości dzieła, a potem, w oparciu o ową treść, prognozował publikację następną. W ten sposób **obszedł** barierę Gläulera i uzyskał dane o stanie Ameryki w roku  $10^{10}$ . Mullainen i Zuck zakwestionowali tę prognozę, podkreślając, iż w roku  $10^{10}$  Słońce będzie już sięgało jako czerwony olbrzym (ob.) daleko poza orbitę Ziemi. Lecz właściwy Paradoks Rümmelehahna polega na tym, iż można śledzić dzieła prognostyczne wzdłuż izotemy tak dobrze naprzód, jak i wstecz; jakoż Varbleux w oparciu o chronokurrencyjny rachunek Rümmelehahna uzyskał dane o treści dzieł futurologicznych sprzed 200 000 lat, tj. z czwartorzędu, a także z ery węglowej (z karbonu) i z archeozoiku. Skądinąd wiadomo, jak

to podkreślił T. Vroedel, że przed 200 000, przed 150 milionami oraz przed miliardem lat nie było ani druku, ani książek, ani ludzkości. Dwie hipotezy usiłują wyjaśnić Paradoks Rümmelehahna; A. Wg Omphalidesa teksty, które udało się retrodykować, są to takie teksty, które wprawdzie nie powstały, ale które mogły były powstać, gdyby we właściwym czasie było komu je spisywać i wydawać. Jest to tak zwana hipoteza WIRTUALNOŚCI RETROGNOZY IZOTEMICZNEJ (ob.). B. Wg d'Artagnana (jest to pseudonim grupy francuskich refutologów) aksjomatyka eksformatyki izotemicznej zawiera takie same nieprzewidywalne sprzeczności jak klasyczna teoria Cantora (ob. MNOGOŚCI TEORIA KLASYCZNA). 2. Paradoks prognostyczny de Faillance'a również dotyczy prognozowania izotemicznego. Badacz ten zwrócił uwagę na to, iż jeśli ogłasza się obecnie dzięki śledzeniu chronokurrencyjnego tekst dzieła, które ma się ukazać dopiero za 50 lub 100 lat jako pierwodruk, to tym samym dzieło to nie będzie się już mogło jako pierwodruk ukazać. 3. Paradoks metalangowy GOLEMA: znany jest również jako Paradoks autostratyczny. Wg najnowszych badań historyków świątynię w Efezie spalił nie Herostrates, lecz Heterostrates. Osobnik ów zniszczył coś poza sobą, tj. coś innego i stąd jego imię. Natomiast Autostrates to ten, kto niszczy sam siebie (samostraceńczo). Tylko tę część Paradoксу GOLEMA udało się, niestety, przełożyć dotąd na język zrozumiały. Reszta Paradoксу Golema, o postaci:

$$Xi \bullet viplu (a+ququ\ 0,0)$$

$$E \bullet l+m \bullet el+edu - d \bullet qi$$

jest nieprzekładalna zasadniczo na języki etniczne, jako też na dowolne formalizmy matematycznego bądź logicznego typu. (Na tej nieprzekładalności polega właśnie P. Golema). (Obacz też METALANGI oraz PROGNOLOGWISTYKA). Istnieje kilkaset rozmaitych wykładni P. Golema; podług T. Vroedla, jednego z największych żyjących dziś

matematyków, P. Golema polega na tym, że nie jest paradoksem dla Golema, a tylko dla ludzi. Jest to pierwszy z odkrytych paradoksów, zrelatywizowany (odniesiony) do intelektualnej mocy podmiotów uprawiających poznanie. Całość zagadnień związanych z P. Golema obejmuje praca Vroedla „Die allgemeine Relativitätslehre des Golemschen Paradoxon” (Getynga 2075).

**PROGNOLINGWISTYKA** dyscyplina, zajmująca się prognostycznym konstruowaniem języków przyszłości. Przyszłe języki można konstruować w oparciu o ich wykryte gradienty infosemiczne oraz dzięki generatywnym gramatykom i słoworodniom wg szkoły Zwiebulina-Tschossnietza (ob. GENAGRATYKA oraz SŁOWORODNIE). Ludzie nie są zdolni do samodzielnego przepowiadania języków przyszłości; zajmują się tym w ramach projektu PREWOLING (prognozowanie ewolucji lingwistycznej) TERATERY (ob.) i PANTERY (ob.), które są HIPERTERIERAMI (ob.), czyli komputerami 82 generacji podłączonymi do GLOBOTERA (ob.), czyli do ziemskiej sieci eksformatycznej wraz z jej INTERPLANAMI (od „Interficies planetaris” – ob.) jako przyczółkami na planetach wewnętrznych i pamięcią satelitarną (ob.). Toteż ani teoria prognolingwistyki, ani jej owoce – METALANGI (ob.) nie są dla ludzi zrozumiałe. Niemniej wyniki projektu PREWOLING pozwalają generować dowolne wypowiedzi w językach przyszłości dowolnie oddalonej; część ich przy pomocy RETROLINTERÓW można przekładać na języki dla nas zrozumiałe i wykorzystywać tak zdobyte treści praktycznie. Wg szkoły Zwiebulina-Tschossnietza (nawiązującej do kierunku wytyczonego przez N. Chomsky’ego w wieku XX) podstawowym prawem lingwoewolucji jest efekt Amblyona – **zbiegania się** całych okresów artykulacyjnych w nowo powstające pojęcia oraz ich nazwy. I tak np. całe następujące określenie: „Instytucja lub placówka usługowo-handlowa wzgl.

administracyjna, do której wnętrza można wjechać autem albo dowolnym innym pojazdem i skorzystać z jej usług, nie opuszczając wehikułu” – ulega w toku rozwoju języka zbiegnięciu się w nazwę «drive in» (WJECH). Ten sam mechanizm kontaminacyjny działał też, gdy określenie „Efekty relatywistyczne, udaremniając ustalenie tego, co zachodzi teraz na planecie X, oddalonej od Ziemi o «N» lat świetlnych, zniewalają Ministerstwo Spraw Pozaziemskich do opierania polityki kosmicznej nie na realnych zaszłościach innoplanetarnych, bo te są niedostępne zasadniczo, lecz na symulowanej historii tych planet, którym to symulowaniem zajmują się układy śledząco-nawodzone na pozaziemski stan rzeczy, zwane MINISTRANTORAMI (ob.)” – zastępujemy jednym słowem „cudać”. Słowo to (oraz jego pochodne, jak cudaczyć, cudak, cudować, cudawać, cudrałować, cudrać, cudreć itp. – istnieje 519 derywatów) jest skutkiem **zbiegnięcia się** pewnej siatki pojęciowej w zbitkę. Zarówno „wjech”, jak „cudanie” są to słowa należące do aktualnie używanego języka, który w hierarchii prognolingwistycznej zwie się ZEROLANG. Ponad zerolangiem rozpościerają się następne poziomy języków wyższorzędnych, jak METALANG 1, METALANG 2 itd. – przy czym nie wiadomo, czy ten ciąg posiada granicę, czy też jest nieskończony. Cały tekst niniejszego hasła EKSTELOPEDII opiewającego „PROGNOLINGWISTYKA”, brzmi w METALANGU 2, jak następuje: „Optymalec w n-kopajdce zawślizguje się do n-t-synklusdochy”. Jak więc widzimy, zasadniczo każde zdanie dowolnego metalangu ma swój odpowiednik w naszym zerolangu. (Czyli nie ma rozziwów międzymetalangowo pryncypialnie nieprzekraczalnych). Gdy jednak dowolna wypowiedź zerolangowa ma swój zawsze zwięźlejszy odpowiednik w metalangu, odwrotność **praktycznie** już nie zachodzi. I tak, zdania metalangu 3, którym to językiem posługuje się przeważnie GOLEM: „Wywjechnięty



udłamatyk fita prencyk antrencyk w kosmatni” – nie można dlatego przełożyć na język etniczny ludzi (zerolang), ponieważ czas wypowiedzenia odpowiednika zerolangowego byłby dłuższy od życia ludzkiego. (Wg szacunkowych obliczeń Zwiebulina wypowiedź ta trwałaby po naszymu  $135 \pm 4$  lat). Jakkolwiek nie mamy do czynienia z nieprzekładalnością zasadniczą, lecz jedynie praktyczną, wywołaną czasochłonnością procedur, nie znamy żadnego sposobu ich skrócenia i przez to wyniki metalangowych operacji możemy uzyskiwać tylko pośrednio – dzięki komputerom co najmniej 80 pokolenia. Istnienie progów między poszczególnymi metalangami tłumaczy T. Vroedel zjawiskiem błędnego koła: po to, aby doprowadzić długie określenie jakiegoś stanu rzeczy do **zbiegnięcia** się w postać zwięzłą, trzeba najpierw zrozumieć sam ów stan rzeczy, lecz kiedy zrozumieć go można tylko dzięki określeniu, tak długiemu, że życia nie starczy, aby je przyswoić, operacja redukcji staje się niewykonalna. Podług Vroedla prognolingwistyka uprawiana w upośrednieniu maszynowym wykroczyła już poza pierwotny jej cel, ponieważ nie przepowiada ona wszak języków, jakimi ludzie będą mogli się kiedykolwiek posługiwać – chyba iż w ramach autoewolucji radykalnie przekształcą swoje mózgi. Czym więc są metalangi? Brak na to pytanie jedynej odpowiedzi. Golem, wykonując tak zwane „sondowania w górę”, czyli pod gradient lingwoewolucji, wykrył 18 wyższych poziomów metalangowych, jakie są dlań osiągalne, oraz wyznaczył okólnie istnienie dalszych pięciu, do których już nawet modelowo przedostać się nie jest w stanie, ponieważ jego pojemność informacyjna okazała się po temu niedostateczna. Być może istnieją metalangi tak wysokich poziomów, że cała materia Kosmosu nie wystarczyłaby dla zbudowania układu, który mógłby się tymi metalangami posługiwać. W jakim więc sensie wolno twierdzić, że te wysokie

metalangi istnieją? Jest to jeden z trudnych dylematów, powstałych w toku prac prognolingwistycznych. Odkrycie metalangów przesądziło w każdym razie w sposób negatywny wielowiekowy spór o szczytowanie ludzkiego rozumu: nie szczytuje on, wiemy już, na pewno; sama konstruowalność metalangów stałoby dowód na szansę istnienia istot (lub układów) rozumniejszych aniżeli *Homo sapiens*. (Obacz też: PSYCHOSYNTYKA; GRADIENT METALANGOWY; PUŁAPY JĘZYKOWE; TEORIA WZGLĘDNOŚCI LINGWISTYCZNEJ; CREDO T. VROEDLA; SIECI POJĘCIOWE). Patrz też: Tablica LXXIX.

**PROGNORRHOEA** inaczej biegunka prognostyczna, dziecięca choroba dwudziestowiecznej futurologii (ob. PRAPROGNOSTYKA), która doprowadziła do utopienia prognoz istotnych w nieistotnych wskutek dekategoriizacji (ob.) i utworzyła tak zwany czysty szum prognostyczny (obacz też: SZUMY, także ZAKŁÓCENIA PROGNOZ).

**PROLEPSJA** inaczej przepadaczka, metodyka (teoria i technologia) przepadania, odkr. 1998, zastosowana po raz pierwszy w r. 2008. Technologia P. oparta jest na wykorzystaniu EFEKTU TUNELOWEGO (ob.) w dziurach ciemnych Kosmosu. Jak bowiem wykryli Jeeps, Hamon i Wost w r. 2001, w skład Kosmosu wchodzi Parawersum oraz Negawersum, stykające się ujemnie z Rewersum. Dlatego cały Kosmos nosi nazwę POLIWERSUM (ob.), a nie jak dawniej – UNIWERSUM (ob.). Układ proleptorowy przemieszcza dowolne ciała z naszego Parawersum do Negawersum. Przepadaczka używana jest jako technika usuwania śmieci, odpadków i zanieczyszczeń środowiskowych. (Obacz: ANTYPOLLUCYJNE TECHNIKI). W r. 2019 w Ugandzie używano jej jako XENOLEPSJI (ob.) do usuwania niepożądanych obcokrajowców. Xenolepsja objęta jest zakazem ONZ. Obacz też: PARAGURGITACJA, NEGAWERTURA, APOLEPSJA, WYKOPERTYZA.

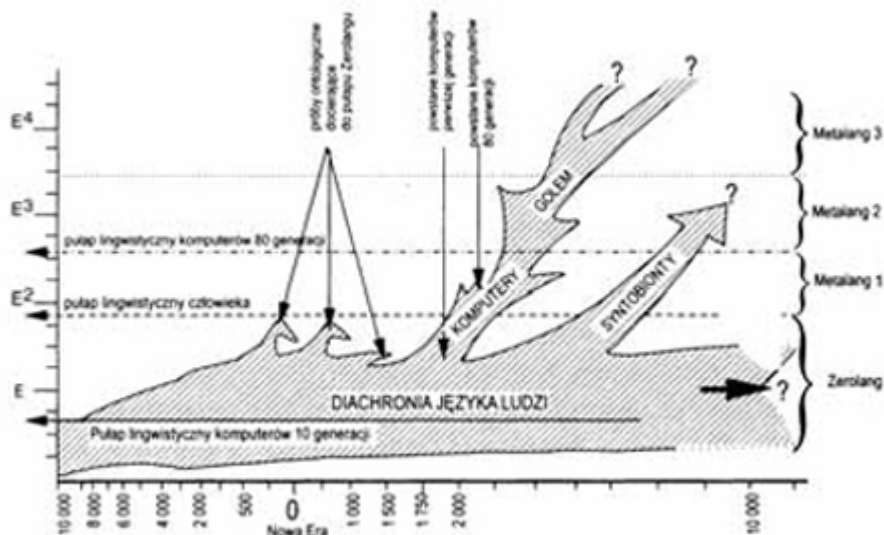
### Tablica LXXIX

Reprodukcja hasła **MATKA** ze słownika Zerolangu, przepowiedzianego na rok 2190+5 lat. (Według Zwiebulina i Courdlebye'a).

**MATKA** rzecz. rodz. ż. 1. MAŁA atomówka, cz. minibomba atomowa, prod. nieleg., używ. gł. przez poryw., terr., maf., gang., narkom., szal., kontest., band., szantaż., zbocz., i in. MATECZKA, też, noszona w teczce, zwykle z zapaln. zdaln. MATULA, także: MATULINA, też, w otulinie radioaktywnej wzmag. sił. raż. MATUSIA, także: MATUŚKA, też, z otuliną sporz. z siarczk. kob. i strontu (Co, St). MAMUNCJA — też, o ładunku równoważn. 1 Uncji uranu (U 235). MATUCHNA, także: ZERUCHNA, mała b. a. z otuliną z izotop. uranu, węgla, azotu i argonu (U, C, H, N, A). Powod. skażenie trwale w prom. 1 mili. MAMULINA, MAMULITKA, MAMULINEK — m. bomba wodorowa z litem (Lithium) jako substr. ekspl. 2. Kobieta, kt. urodziła dziecko (nie używ.).

### Tablica LXXX

Wykres poglądowy\* ewolucji lingwistycznej wg Vroedla i Zwiebulina.



Objaśnienie: na osi odciętych wyznaczony jest czas w mileniach, na osi rzędnych — pojemność konceptualna w bitach na sem na sekundę przepływu artykulacyjnego (w jednostkach epsilon-przestrzeni).

**PROLEPTYK**, osoba fizyczna l. prawna, wyekspediowana nieodwracalnie z rewersum przy użyciu technik proleptycznych<sup>4</sup>.

**PROLEP** także PROLEPIK (ob.), pasta przylepcowa, utrudniająca stosowanie technik proleptycznych do ciał wzgl. osób trzecich.

**PROPORTAL** zwany też niewidziakiem l. niewidziadłem, otwór o wymiarach ujemnych (podzerowych) na styku Parawersum i Negawersum. Prywatne sporządzanie, posiadanie oraz używanie P.

jest prawnie wzbronione. Obacz też: PROPORKI, DEJANIRY KOSZULA, PRZESTĘPSTWA MATRYMONIALNE, ROZWÓD PRZEPADACZKOWY, FORAMINISTYKA NEGATYWNA.

**PROPORKI** spodnie jednopowierzchniowe Kleina, patrz: KRAWIECTWO KWANTOWO-TUNELOWE.

**PROPERTYK** portyk proleptorowy, patrz: ARCHITEKTURA ZEROWA, DEZURBANISTYKA, także: NIEWIDOMKI JEDNORODZINNE.

# Przypisy

<sup>1</sup> Błąd ten popełniły bakterie.

<sup>2</sup> Faza ta zwana była dawniej „monoetyczną” lub „monoetyką”.

<sup>3</sup> Profertynka – patrz: próbny arkusz Ekstelopedii, gratisowo dołączony do tej zapowiedzi.

<sup>4</sup> Nie prognoza!